EPOKA

ROK IV. Warszawa, 20 kwietnia 1937 r. Rok IV, Nr. 8 (87)

Treść numeru:

ZABAWKI ŻYDOWSKIEGO WYROBU

Jeden z wysokich przewodników naszej kultury i oświaty, profesor Józef Ujejski, wystąpił z groźnym i surowym oskarżeniem przeciw dewastacji moralnej, której uległy w ostatnich czasach nasze rzeczpospolite akademickie:

„Wtargnął do nich i usiłuje zapanować nad ich życiem — brzmi ów akt oskarżenia — żywioł wyraźnie przestępczy... Żywioł ten jest na szczęście nieliczny, ale działa on wszelkimi środkami teroru fizycznego i moralnego od nikczemnej oszczerczej, anonimowej ulotki aż do petardy o dużej sile wybuchowej pod drzwiami profesora".

Ten żywioł, wśród młodzieży akademickiej nieliczny a dążący do bezwzględnej hegemonii nad ogółem kolegów, nie próbuje nawet walczyć bronią argumentu: ubóstwo umysłowe sprawia, że, chcąc władać, musi władzę zdobywać terorem. Wie, że ideową propagandą osiągnąć celów swych nie zdoła. Stąd to w arsenale owego żywiołu

„świadome kłamstwo stało się środkiem walki obok pałki, próbki z gazem i żelaznego łomu... Teroryzuje się władze akademickie i urzędników lżącymi i grożącymi ulotkami; bije się woźnych za to, że uczciwie pełnią swój ciężki obowiązek. Jeden ze studentów Polaków Politechniki Warszawskiej pobity został tak, że grozi mu poważnie utrata oka a może i wzroku"...

Ten młody adept Politechniki, okaleczony strasznym kalectwem ślepoty, jakiż to byłby potworny symbol barbarzyństwa, w które osunęły się nasze uczelnie! Ten młody student, wstępujący do szkoły po naukę a wracający z jamą wybitych czy wypalonych oczu; unoszący z przybytku światła noc dożywotnią w mózgu, pozbawionym słońca: czy może być krwawsze urągowisko z roli i posłannictwa oświaty?

Ma słuszność profesor Ujejski, gdy nareszcie przestaje mówić o swawolach młodzieńczych i — w pełni przeświadczenia o grozie sytuacji — palcem wskazuje zbrodniarzy: zbrodniarzy oraz ich ofiary. Postokroć ma słuszność, gdy demaskuje dziki paradoks sprzeczności, że, gdy oświecanie ludzi poddane jest skrupulatnej kontroli i cenzurze państwa, tymczasem oślepić lub okaleczyć człowieka może bezkarnie każdy, kto ma kastet w ręku i znajduje się na terenie wyższej uczelni.

„Każdy obywatel... ma prawo żądać ochrony swej osoby, swego mienia i swojej pracy i na tę ochronę może

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem. Cena egzemplarza gr. 50

liczyć. Wyjęty z pod tego prawa jest właśnie tylko obywatel rzeczypospolitej akademickiej, zarówno student jak profesor, na terytorium swej szkoły. Na to, ażeby mógł to prawo odzyskać, musi wyjść na ulicę".

Tak — i to jest szczytem paradoksu — student i profesor, aby odzyskać elementarne prawo obywatelskie, muszą zrzec się przywileju, który im daje autonomia uniwersytecka. Ale nie tu jeszcze koniec osobliwości. Zbrodnia, obryzgująca krwią ofiar mury wszechnic, nietylko jest uzbrojona w bezkarność i przywilej. Chadza ona ponadto w splendorze ideologii, zwiastującej światu jakoby nowy kodeks wartości:

„Na jednym z wieców jesienią ub. roku — przypomina Ujejski — rzucone było hasło: „Gdy wam kto zacznie opowiadać, że kastet i nóż to — nieszlachetna broń, to go odrazu bijcie!"

Bijcie, oczywiście, tym skwapliwiej, gdy możecie napaść w kilku na jednego; bijcie tym śmielej, gdy ciosy możecie zadawać z tyłu, lub z zasadzki.

„I wstyd powiedzieć: szczytne te hasła na wiatr nie poszły... O honorze, zasadach czy ideałach etycznych nie ma co mówić wyznawcom tego hasła, gdyż powiedziano... że są to „ładne zabawki żydowskiego wyrobu".

Zabawki żydowskiego wyrobu: oto katalog, pod który rycerze noża i kastetu podciągają, w razie potrzeby, wszystko, co wypracowała etyka, co wychowało życie społeczne, aby powściągnąć i okiełznać w człowieku bestię jaskiniową. Między „zabawki żydowskie" gotowi są oni zaliczyć całą cywilizację europejską z jej kodeksem honoru żołnierskiego, z jej tablicami prawa i moralności: wszystko, co stać się może przeszkodą w „wojnie świętej" z Żydami, a więc w wojnie „totalnej", w wojnie eksterminacyjnej, takiej samej, jaką niegdyś Żydom wypowiedział carski rząd rosyjski. Tylko, że wtenczas, pod caratem, na wspólnych z Żydami oraz innymi nie-Rosjanami ławach upośledzenia sadzano także Polaków. Buntował się wówczas przeciw prześladowaniom tym Józef Piłsudski, piętnując program, którym szczuto prześladowanych, jako „brudny, zszargany łachman szowinizmu narodowego".*) Profesor Ujejski jest wierny najczystszej myśli Piłsudskiego, gdy potępiając bojówki terorystyczne, przestrzega przed wznawianiem w akademickich szkołach polskich metody, która tak opłakany wydała plon w dawnych szkołach caratu.

„Nie ma co owijać w bawełnę: szkoły akademickie zachwiane zostały w tym roku w swojej elementarnej racji bytu. Wielkie sumy łożone na ich utrzymanie, mijają się ze swoim celem. Młodzież ciężko zapracowane przez siebie lub przez rodziców pieniądze na życie w miastach uniwersyteckich w znacznej części marnuje, nie mówiąc już o marnowaniu czasu... A przecież państwo nowoczesne nie może istnieć bez warsztatów naukowych i bez wykwalifikowanych młodych sił pracowniczych... Czyż trzeba i to przypominać, że w tych warunkach bytowania nie wolno nam na żadnym odcinku życia społecznego tolerować anarchii?"...

Tak mówi, tak pyta, pełen troski i niepokoju profesor Ujejski. Jakąż da mu odpowiedź Ujejski — wiceminister?

Profesor bowiem Ujejski, który tak surową a rzetelną dał analizę tego, w co zamieniły się nasze uczelnie, jest jednocześnie poważnym czynnikiem władzy w rządzie. Po słusznej diagnozie niechże przyjdzie właściwa decyzja, kładąca kres anarchii, która, jak rząd sam stwierdza, istotnie jest zaraźliwa; istotnie, z jednego odcinka przenosi się łatwo na inne. Na tę wszakże decyzję kraj, jak dotąd, czeka napróżno. Na próżno czekają na nią — zwłaszcza — zastępy młodzieży, obcej zapędom teroryzmu, pragnącej się uczyć i nie chcącej marnotrawić czasu i pieniędzy. Tym zastępom — nie z nazwy, lecz z ducha — państwowym i narodowym, bo przedstawiającym najgłębsze i najszersze narodu podstawy, nie uczyni zadość rozporządzenie, które, rozwiązując kilka organizacyj studenckich, w swym ryczałtowym trybie dotknęło zarówno ośrodki anarchii, jak tych, którzy się im przeciwstawiają.

Skoro trafną postawiło się diagnozę, nie wypada uciekać przed wnioskami, które z niej płyną nieodparcie. Wiceminister wprawdzie nie zawsze zgadzać się może z opinią najświatlejszego profesora. W danym jednak wypadku mógłby ją podzielić bez obawy posądzenia o to, że ulegnie... obcym wpływom. I że, broniąc cywilizacji, broni tylko „zabawek żydowskiego wyrobu".

*) Por. pokłosie z pism Józefa Piłsudskiego w poprzednim n-rze „Epoki".

MARKIZ POSA OKLASKIWANY W BERLINIE

W Berlinie — od wielu dni powtarza się niebywałe i wiele mówiące zjawisko.

W „Deutsches Theater", znajdującym się pod bezpośrednim nadzorem i opieką ministra propagandy dr. Göbbelsa po wielu „klapach" i nieudałych próbach stworzenia repertuaru narodowo - socjalistycznego, po zreformowaniu ukazem izby prasowej krytyki teatralnej wystawiono nieśmiertelny dramat Fryderyka Schillera — „Don Carlos". Co skłoniło władze narodowo-socjalistyczne do wprowadzenia tej sztuki, będącej apoteozą walki o wolność myśli, walki przeciw ciemnocie, reakcji i gwałtowi nad sumieniem — na deski głównego teatru dramatycznego w Berlinie, trudno orzec. Być może, iż rolę decydującą odegrały tu względy kasowe: trzeba było raz wreszcie wystawić sztukę, która ze względu na kult publiczności niemieckiej dla arcydzieł klasycznych, mieć musiała zapewnione powodzenie. Argumentem na rzecz Schillera może było i to, że świeżo pojednany z kanclerzem Hitlerem generał Ludendorff wraz ze swą małżonką niedawno zajmował się rozpowszechnianiem bezsensownej legendy o tym, iż mason Goethe otruł Schillera. Wobec tego twórca „Zbójców" stawał się jak gdyby ofiarą wrogów hitleryzmu i należało mu się za to od III-ej Rzeszy jakaś satysfakcja. Tak, czy inaczej, dość, że „Don Carlos" bez skrótów i przeróbek ujrzał światło kinkietów na scenie berlińskiej pod rządami Göbbelsa. I oto zaszło nieoczekiwane przez władze i wywołujące najliczniejsze komentarze zjawisko: nie tylko sztuka cieszy się niesłabnącym powodzeniem w ciągu licznych wieczorów (na cc liczono), ale i tu następuje niespodzianka: poszczególne momenty sztuki, tam, gdzie jest mowa o wolności, wywołują co wieczór burzliwe owacje publicz-

ności. Dzieje się to w Berlinie, w czwartym roku rządów narodowo-socjalistycznych, chlubiących się tym, że wykreśliły wyraz „Freiheit" ze słownika narodu niemieckiego. Co wieczór, w czasie 10-tej sceny III aktu, gdy markiz Posa udziela rad królowi Filipowi II, mówiąc o tym, jak gubi on najszlachetniejszych obywateli za to tylko, że inaczej wierzą, niż on, jak opuszczają Hiszpanię najlepsi, uciekając się pod opiekę wrogiej Filipowi królowej Elżbiety, szerząc sztukę i kulturę w Anglii, na sali wybuchają żywiołowe oklaski.

Powtarzają się one po każdej niemal strofie tyrady. Entuzjazm sali dochodzi do kulminacji, gdy markiz Posa mówi: „Człowiek jest czymś więcej, niż panu się to wydaje, wyrwie się on z długiego odrętwienia i upomni się o swoje najświętsze prawa".

W oryginale:

„Der Mensch ist mehr, als Sie von ihm gehalten.
Des langes Schlummers Bande wird er brechen
Und wiederfordern sein geheiligt Recht".

A gdy po tych słowach markiz Posa, woła do króla: „Panie, daj wolność myśli!" (Geben Sie — Gedankenfreiheit) — entuzjazm widowni przybiera rozmiary nie dające się opisać. Ta żywiołowa demonstracja powtarza się co wieczór.

Prasa niemiecka przez dłuższy czas o tym milczała, ale przecież zmuszona była zająć stanowisko wobec tak „dziwnego" wydarzenia.

Pierwszy, widocznie z rozkazu, zabrał głos organ młodzieży narodowo - socjalistycznej, będący pod nadzorem „führera" Hitler-jugend pana Baldur von Schirach czasopismo „Wille und Macht". Czytamy tam taki wywód:

„Czy legenda „Don Carlosa" może nas dzisiaj wzruszać tak, jak wzruszała poprzedzające nas pokolenie? Czy markiz Posa nie jest prekursorem liberalizmu politycznego XIX wieku? Zna on wybór jedynie pomiędzy tyranią a demokracją. Ludzie jak Posa dali pobudkę do rewolucji francuskiej. Ale nie tylko jego nieniemiecki ideał polityczny jest nam dziś obcy, lecz sam Posa z natury swojej jest dziś dla nas człowiekiem nie-politycznym... Jeżeli dziś co wieczór scena pomiędzy królem a Posą jest oklaskiwana, to dzieje się jedynie pod wrażeniem namiętności, której daje ona wyraz... Gdyby wśród widzów stanowili większość towarzysze (Volksgenosse), którzy z natury i wychowania umieją oceniać rzeczy polityczne, poklask byłby mniej silny"...

Po organie führera młodzieży odezwała się zglajchszaltowana ostatnio „Frankfurter Zeitung", usiłując również pomniejszyć znaczenie tej codziennej demonstracji, a nawet wytłumaczyć ją jako dodatni wynik wychowania hitlerowskiego w kulcie dla arcydzieł literatury.

Rzecz oczywista, że te dwa komentarze i inne na nich oparte uwagi prasy niemieckiej w III-ej Rzeszy, nie są w stanie zasłonić znaczenia i wymowy opisanego zjawiska.

Tak jak mówi Posa, budzi się człowiek z długiego odrętwienia i upomina się... Niewątpliwie życie w Niemczech zmusza masę ludzką do zbudzenia się. Najbardziej ogłuszeni — zaczynają słyszeć, a zaślepieni — widzieć. Pomaga im do tego gospodarka, przygotowująca wojnę, a skazująca całe społeczeństwo na dotkliwe ofiary i codzienne kłopoty życiowe niczym nie uzasadnione w czasie pokoju. Brak surowców, poczynając od żelaza, staje się coraz bardziej widoczny, ograniczenia w spożyciu — coraz bardziej dręczące, brak artykułów pierwszej potrzeby — coraz bardziej przykry. A co w zamian — pyta obywatel III-ej Rzeszy? Wojna z kościołem katolickim, aresztowania księży, odczytujących Encyklikę papieską, na nowo psujące się stosunki z Austrią, o której Anschlussie nawet się nie mówi, pomimo iż umowa z 11 lipca 1936 r. otworzyła jakby wrota do pokojowego wchłonięcia Wiednia z przyległościami przez III-ą Rzeszę. Idźmy dalej w bilansie stanu rzeczy niemieckich: wielka akcja na rzecz odzyskania kolonii zbudziła jedynie czujność W. Brytanii i na razie wzmocniła sojusz państw demokracji zachodniej, nadzieje na shitleryzowanie Belgii rozwiewają się, Skandynawia cała z Finlandią razem jest zupełnie po za orbitą hitleryzmu. Najsilniejszy sojusznik — faszyzm włoski — zawiódł w najważniejszym momencie, otwierając serię klęsk interwencjonistów i gen. Franco w Hiszpanii. Rzeczoznawcy niemieccy przesłali ponure i sceptyczne raporty o włoskich siłach zbrojnych w Hiszpanii, a w dodatku nie umieli ukryć swego zadowolenia z niższości strategiczno - militarnej oddziałów włoskich w Hiszpanii. Drwiący ton tych relacji był zresztą nie tylko nie na miejscu, ale i nie na czasie, bo na innych polach bitew w tejże Hiszpanii, mianowicie na froncie pod Kordobą oddziały niemieckie również poniosły (na odcinku Pozzoblanco) klęskę.

Na swoją korzyść w tym bilansie stanu rzeczy mogła by III-a Rzesza zapisać najwyżej pogłoski o tym, iż między Moskwą a Berlinem budzi się dążność do porozumienia. Urzędowo zaprzecza się temu, ale pogłoska powtarza się, nie dodając przecież laurów zwycięskich kierownikom krucjaty przeciw Kominternowi. Słabą pociechą są również nowe wydania pogłosek o upadku rządu Bluma we Francji. Na tle smutnych i krwawych wydarzeń w Clichy usiłowano prząść na nowo sieć, w której miała się załamać polityka Francji, ale położyło temu kres posiedzenie Izby Deputowanych, ostatnie przed przerwą świąteczną, gdzie rząd Bluma wyszedł zwycięsko z ognia ataków.

Cóż więc dziwnego, że markiz Posa budzi entuzjazm w teatrze berlińskim i że urzędowi komentatorzy polityki III-ej Rzeszy bez powodzenia usiłują to zjawisko — wytłumaczyć.

Stefan Grostern.

Ci, którzy rozpalić chcą nanowo wojnę między narodami europejskimi, należącymi do jednej wspólnej rodziny, chcą wojny domowej.

Warto przypomnieć, że słowa te już przed stu trzydziestu kilku laty wypowiedział Napoleon.

***

Władcy najbardziej absolutni okazują się często kroć najsłabsi, gdyż z nikim nie mogą podzielić swej odpowiedzialności.

***

Wojna dla ustrojów totalnych posiada nieocenione prerogatywy: usprawiedliwia ona rząd „silnej ręki" a poza tym pozwala każde wystąpienie przeciw systemowi rządów karać, jako zdradę ojczyzny.

„CISZEJ O SOWIETACH"...

PRAWDZIWE PODŁOŻE MASAKRY MOSKIEWSKIEJ

Masakry wybitnych rewolucjonistów w Moskwie wywołały wiele najrozmaitszych refleksyj i domysłów, a nawet postawiły pod znakiem zapytania sam byt dyktatury Stalina. Pisano o rozkładzie wewnętrznym ustroju sowieckiego, a nawet o możliwościach rychłego jego upadku. Dochodzono do takich domysłów na podstawie zarzutów, stawianych przez rząd sowiecki szeregowi działaczy, którzy mieli jakoby dokonywać aktów sabotażu i zamachów na życie dygnitarzy państwowych oraz spiskować z hitleryzmem niemieckim dla obalenia Sowietów i przywrócenia w Rosji kapitalizmu.

Przeciwnicy marksizmu chętnie zgodzili się na Stalinowskie oskarżenie, dodając już od siebie, że socjalizm wykazał w Rosji zupełne bankructwo, skoro aż tak wybitni jego twórcy i wodzowie jak Zinowiew i Kamieniew, jak Radek i Piatakow oraz Bucharin i Rykow dążyli z powrotem do restauracji kapitalizmu.

Z drugiej strony zwolennicy i sympatycy socjalizmu zapuścili się w labirynt domysłów co do prawdziwości, lub nieprawdziwości oskarżeń, a także i co do dziwactw procesów sowieckich, w których oskarżeni — jak grzesznicy na spowiedzi — oskarżają się sami. Stąd wnioski, że oskarżeni istotnie byli winni („Daily Herald") zarzucanych im przestępstw. Skądinąd przypisywano Stalinowi specjalną mściwość; wreszcie winę teroru składano na odwieczne stosunki moskiewskie.

Mimo bogactwa domysłów i próby wyjaśnienia tych sowieckich, istotnie zatrącających średniowieczem zjawisk, owe — jak je nazwano — „procesy czarownic" wyjaśnione nie zostały i nadal budzą mnóstwo wątpliwości. I wydaje się nam, że póki nie zrozumiemy tych długich, od dość dawna trwających procesów, które stworzyły podłoże do masakry moskiewskiej, póty będziemy nadal brnęli w labiryncie zagadek i tajemnic.

Naszym zdaniem, podłoża procesów moskiewskich szukać należy przede wszystkim w tych przemianach ideowo-ustrojowych, którym od dłuższego czasu ulega imperium sowieckie. To znaczy w gruntownej biurokratyzacji, na którą Rosja, przy niebywale niskiej kulturze swych mas, była skazana niemal bezapelacyjnie.

Przeciwstawiając się Kautsky'emu, który niebezpieczeństwo takie przewidywał, Lenin w broszurze p. t. „Państwo a rewolucja" dowodził, że ono nie powstanie, albowiem po rewolucji biurokracja będzie obieralna, a zatym dostatecznie przez lud kontrolowana. Lecz oto w cztery lata po rewolucji Lenin sam stwierdza: „Mamy państwo robotnicze z biurokratycznym zniekształceniem".

***

Rewolucja, bez wszelkich wyborów, powołała z miejsca światlejsze jednostki z pośród proletariatu do urzędów, i to był pierwszy, koniecznościami spowodowany wyłom, który wybitnie ułatwił późniejsze przemiany ideologiczne. Na dole bowiem pozostał nieświadomy tłum, niezdolny do obrony swych interesów.

To też Lenin wiele razy musiał używać swego władczego autorytetu, aby powstrzymać zapędy biurokracji, między innymi i zapędy Trockiego, który stanął na stanowisku „zglajszaltowania" związków zawodowych i w ogóle podporządkowania całokształtu życia aparatowi państwowemu.

Wbrew teoriom Trockiego, że skoro istnieje państwo robotnicze, to nie są potrzebne osobne organizacje robotnicze, gdyż nie mają kogo i przed kim bronić, słusznie dowodził Lenin, że skoro już musiała czasowo zrodzić się biurokracja, będzie ona wywierać napór na zdobycze socjalne mas, będzie zmierzać ku absolutyzmowi i narzuceniu robotnikom i chłopom swojej ideologii. Stąd zachodzi potrzeba zawarowania wolności i niezależności związków zawodowych, dla hamowania uroszczeń i zapędów biurokracji.

Tak też istotnie było do śmierci Lenina. Związki zawodowe utrzymywały w ryzach biurokrację fabryczną i państwową. Nie widzieliśmy w owych czasach tak wielkich różnic w płacach, nie słyszeliśmy o haśle „precz z równością, którą wymyślił wróg i dureń", nie znani byli ani „udarnicy", ani stachanowcy, a przecież z popiołów i ruin dźwignięte wówczas zostały zastygłe fabryki i kopalnie. Istniejące podówczas prawo krytyki i wolność dyskusji w organizacjach robotniczych, szeroka współpraca kadrów inteligencji i samego aparatu biurokratycznego z masami, budziły nadzieję, że szeregi proletariatu i chłopów zostaną zasilone nowymi siłami intelektualnymi, wyrosłymi na gruncie istniejących swobód demokratycznych.

Niestety, swobody te trwały zbyt krótko.

Ze śmiercią Lenina padła jedna z tam, powstrzymująca run biurokracji na zdobycze socjalne mas. Milczący za życia Lenina Stalin, wygrywając teraz grupę Bucharina przeciw Trockiemu, pozbył się tego ostatniego, ale wykonał jego program i „zglajszaltował" związki zawodowe. Rola ich, i owszem, została rozszerzona, lecz w kierunku wrogim robotnikom. Od roli opieki nad robotnikami, od roli powściągania biurokracji, związki przeszły teraz do roli opieki nad przemysłem, od kontroli biurokracji, do roli aparatu tejże biurokracji, od współpracy i współdziałania z masami do stosowania nacisku i przymusu w masach, którym zaczęto usilnie wmawiać znane na Zachodzie hasło: „Wszystko dla państwa", zamiast — jak dotąd — hasło: „Wszystko dla pracujących". Tłumaczono, że to przecież wszystko jedno.

Próby oporu przeciwko tak przenicowanej teorii od początku były łamane, ale zrazu dość „demokratycznie" przez perswazje, delegowanie do pracy w dalekie strony kraju, wreszcie łagodne zesłania. Wystarczało wówczas napisanie listu do partii, aby wrócić do łask i stanowiska. Pod wpływem niewyjaśnionej sytuacji wewnętrzno-ustrojowej wielu opozycjonistom nasuwały się wątpliwości, potęgowane nie tylko tęsknotą do pracy, lecz i postępującą w kraju rozbudową, która dawała pobudki do kontrolowania swoich uprzednich zastrzeżeń. Mówimy tu, rzecz prosta, o okresie, w którym jeszcze nie znane było stalinowskie hasło: „Wróg i dureń wymyślił równość", ani hasło: „Wszystko dla państwa", ani „Kadry decydują o wszystkim".

To miało przyjść dopiero w wiele lat później, po gruntownej przebudowie psychiki nieśmiałej z początku biurokracji, przebudowie o tyle gruntownej, aby już w ogóle zaprzestać wszelkiego liczenia się z masami.

Po złamaniu oporu mas przez upaństwowienie związków zawodowych, biurokracja sowiecka nie odrazu jednak zrywa z masami. Zajmuje jeszcze przez jakiś okres pozycję wahadłową. Apetyt jej wzrość miał dopiero w miarę jedzenia.

Feuerbach mówi, że: „W chacie myśli się inaczej, niż w pałacu". Marks potwierdza to samo w zdaniu: „Świadomość określana bywa przez warunki bytu".

Świadomość biurokracji tężeje w miarę poczucia swej siły i braku oporu ze strony mas, które długo nie dostrzegają narastającego niebezpieczeństwa, wciąż oszołomione zwycięstwem rewolucji i nadziejami rychłych z tego zwycięstwa korzyści. Biurokracja, która zaczyna inaczej myśleć, niż myślała wtedy, gdy stała przy warsztacie fabrycznym, wyzyskuje ten okres zaufania. Powoli zrywa współpracę z masami, zastępując ją rozkazem. Kto się jej rozkazom próbuje przeciwstawić w mieście, jest kontrewolucjonistą, szkodnikiem, leniem — zależnie od tego, jaką mu etykietę można przypiąć. Na wsi będzie to kułak, podkułak i kułacki podśpiewywacz (zapiewajło). Coraz ostrzej zaczyna się tępić odchylenia od zarządzeń i rozkazów, a nie ma już instancji, gotowej stanąć w obronie robotnika i chłopa. Hasło: „Masa jest wszystkim, a jednostka — niczym" sprowadza wartość człowieka na dole do zera. Można go jak parszywą owcę zniszczyć, wysłać na Sybir, oderwać od rodziny, posyłając do robót w głąb kraju, do miejsc odludnych.

W ten sposób dochodzi się do wspaniałej filozofiii. Jednostka z masy jest bez wartości. Ale zato człowiek z kadry jest niebywale cenny. Więc rzuca się hasło: „Kadry decydują o wszystkim". Robotnik i chłop ma odtąd już tylko pracować i nie wtrącać nosa do niczego.

Jest to moment wyraźnego już sformowania się warstwy rządzącej.

Wyidealizowane przez proletariat w walce hasło równego podziału dóbr, które Stalin wykpił na zjeździe „chozjajstwienników" (pracowników gospodarczych) w sierpniu 1937 r., mówiąc, że wymyślił je „wróg i dureń", teraz dopiero nabiera mocy i znaczenia, gdy rozbrzmiało potężne, a odwrotne „dałoj urawniłowku" (precz z równością).

Pozornie mogło się to nowe hasło wydać słuszne. Wiadomo przecież, że nie wszyscy chcą pracować. Ale przecież nie o to chodziło, aby wałęsającemu się leniowi zapłacić tak samo, jak i pracującemu. Proletariatowi chodziło o zasadę, o tendencję do rugowania płac nadmiernych, do przeciwstawienia się zachłanności burżuazji, a po rewolucji zachłanności aparatu rządzącego. Było ono więc i w Unii Sowieckiej hasłem mobilizującym doły, przeciw uroszczeniom góry rządzącej. Po przenicowaniu go, stało się hasłem mobilizującym góry przeciw dołom.

Jak wyzyskała to przenicowane hasło biurokracja, wiemy o tym z tabeli płac, które dla biurokracji, otrzymującej jeszcze dodatkowe gratyfikacje, przewyższają płace robotnicze 10-cio i 15-stokrotnie. Ten stan rzeczy wyjaśnia nam również i wiele innych zjawisk, żywo przypominających stosunki w państwach kapitalistycznych: przywrócenie rang oficerskich w wojsku, tytułów w profesoracie, wtrącanie się do stosunków rodzinnych, małżeństw, zabronienie poronień — wszystko to nie są sprawy jakiejś małej wagi.

Jak w swoim czasie zwycięska burżuazja, tężejąc w dobrobycie, coraz bardziej oddalała się od mas, które wyzyskała w okresie walki z feudałami, tak samo dziś oddala się od mas biurokracja sowiecka. Od uprzywilejowanych płac już niedaleko było sięgnąć i zagwarantować sobie w konstytucji prawa do własnych will i prawo do spadkobierstwa. Szofer przy samochodzie, stróż przy willi, lokaj do usług tworzą nowe pojęcie o człowieku z nizin. Stosunek do człowieka takiego musiał się zmienić w nowym, nie marksowskim, lecz stalinowskim ustroju. Hasło leninowskie, aby każda kucharka mogła stać się ministrem, jęło brzmieć śmiesznie dla tych, którym kucharki i lokaje muszą usługiwać zgoła nie inaczej, niż dawnym panom.

W trosce o swoją wysokocenną wartość, w nagrodę za zasługi położone dla państwa (tak!), które ani myśli „obumierać na rzecz socjalizmu", biurokracja zażądała przywilejów, orderów, tytułów, dóbr, szkół i — otrzymała to wszystko. Szary robotnik otrzymuje bluff, propagandę, frazesy i odpadki ze stołu.

Chłop, który poszedł do kolektywizacji w nadziei, że byt swój poprawi i będzie wolny od jarzma pługa, zagona, chudej szkapy i krowy, został z powrotem przykuty do krowy i dwuhektarowej działki, oddanej mu w dzierżawę na lat 99. W ten sposób została rozbita cementująca się siła chłopów: — jak Fourchon z powieści Balzaca — nie pójdzie chłop nigdzie ze wsi, bo nie będzie miał dwufrankówki na koszta. Jak Fourchon, wtedy dopiero ujrzy świat szerszy i miasto, gdy go powołają do wojska, lub do nowej fabryki. Zato pozostałemu na wsi będzie można wmawiać, że może się bogacić, gdyż ma i zarobek na kolektywie i własność.

***

Biurokracja sowiecka mogła dopiąć swego celu ostatecznego dopiero po zabezpieczeniu sobie tyłów. Tyłami były tu sekcje Kominternu. Kształtujący się spartańsko-bonapartystyczny reżym sowiecki musiał więc oczyścić sekcje od „oportunistów prawicowych". Bój o wyeliminowanie elementów demokratycznych z partii komunistycznych różnych krajów trwał wiele lat nim osiągnął pożądane wyniki.

Do jak idealnej stylizacji doprowadzono kierownictwo sekcji, wystarczy wspomnieć Czechosłowację, gdzie po zmianie kominternowskiej linii i zastosowaniu wspólnego frontu z „socjal- i ludowo-faszystami" przeczulony w pilności K. C. Czechosłowackiej partii rozszerzył jednolity front nawet na fabrykantów. Zamieszczono, mianowicie, w tamtejszym komunistycznym „Rudym Prawie" artykuł, nawołujący synów fabrykantów, aby mniej pili i hulali, to będzie więcej armat i tanków.

***

W obecnej chwili Rosja Sowiecka znajduje się w tym stadium swego rozwoju ekonomicznego, w jakim znajdował się w okresie swego rozkwitu ustrój kapitalistyczny krajów zachodnio-europejskich. Minie jeszcze wiele lat, nim dojdzie ona do maksymalnego rozwoju swoich sił wytwórczych. Tymczasem produ-

kcja sowiecka nasyca ciągle wzrastające potrzeby aparatu biurokratycznego, spychając masy na szary koniec.

Ale to wcale nie znaczy, że masy w pełni rozumieją swój mizerny udział w zyskach. Mamy tu znów odwrotnie przykładowo ten sam stan, jaki istniał pod koniec XIX wieku w państwach kapitalistycznych, gdy kapitalizm stwarzał jeszcze bądź co bądź trwalsze warunki egzystencji i robotnicy niechętnie słuchali o walce z kapitałem, który dawał zarobek i rozszerzał perspektywy na przyszłość. Dopiero pewna stabilizacja zarobków i wyższy poziom umysłowy wśród proletariatu, pozwoliły temuż dojrzeć swoje istotne położenie i niesprawiedliwość systemu kapitalistycznego.

Na tych samych strunach rozwoju i perspektyw gra w Rosji Sowieckiej młoda warstwa rządząca. Jest ona zbyt młoda, żywa, czuła i przenikliwa, jak każda elita młodej generacji ludzkiej, aby nie żywić ambicyj, a masy są również zbyt młode i nieświadome, aby mogły dojrzeć groźbę nadciągającego ucisku.

Wszelako wśród starszej generacji robotniczej budzą się odruchy protestu, w którym kryją się początki niebezpieczeństwa dla warstwy uprzywilejowanej.

Doszedłszy do doskonałości rozwojowej, warstwa rządząca, która i siebie i rolę swą wyidealizowała w haśle „Kadry decydują o wszystkim", przypisawszy sobie wszystkie zasługi zdobywcze i rozwojowe Z. S. R. R., warstwa ta nie cierpi żadnych odruchów niezadowolenia. Uznaje ona siebie wyłącznie za wodza mas, za dobrodzieja i opiekuna. Jak młoda ongi generacja burżuazji, nowa sowiecka warstwa rządząca traktuje masę, jako warstwę niższą, dziecięco naiwną, wymagającą ojcowskiej opieki i twardej ojcowskiej ręki. Jeszcze się mosty między warstwą rządzącą a dołami nie spaliły. Masy nie zupełnie zdają sobie sprawę, że są rządzone. A warstwie rządzącej zależy na tym, aby te mosty trwały jak najdłużej. Uważa je nawet za wiekuiste, a ze swego stanowiska za konieczne i słuszne.

W tym stanie rzeczy, gdy warstwa rządząca uważa siebie za idealną przewodniczkę mas, gdy łaskawie się zniża i czyni rzekome ofiary ze swego intelektualizmu na rzecz mas, jakżeż ma traktować niewdzięczników, którzy ośmielają się jej stawiać zarzuty? Nie inaczej, jak tylko uznać każdego z takich śmiałków za faszystę, kontrewolucjonistę i zdrajcę, a jeśli to jest zbyt mały pionek — za faszystowskiego „zapiewajłę" (co znaczy, że tak śpiewa, jak mu faszyści każą).

W takiej to sytuacji psychologicznej zrodziły się procesy starych bolszewików Zinowiewa, Kamieniewa, Radka, Piatakowa, Bucharina, Rykowa.

W chwili, gdy to piszemy, organ rządu sowieckiego „Izwiestia" formuje oskarżenie przeciw Bucharinowi i Rykowowi. Oto już w roku 1928 Bucharin z Sokolnikowem podczas plenum C. K. Partii mieli prowadzić rokowania z Kamieniewem o zmianę kierownictwa partii. Rykow, Ułganow i Bucharin usiłowali — jak słyszymy — namówić moskiewską organizację do wystąpienia przeciw C. K. partii. Cóż to znów za zbrodnia?

Rok 1928, był rokiem intensywnych walk frakcyjnych w rosyjskiej partii komunistycznej. Walka o kierunek linii „kompartii" odbywała się, jak wiadomo, we wszystkich sekcjach. Zdawałoby się więc, że nie było w tym nic zdrożnego. Chodziło o zwycięstwo tej, lub innej myśli. Zresztą zarówno cele, jak i osoby były dobrze znane, nikt nie krył się w Rosji ze swymi przekonaniami. Zwyciężył Stalin, poparty przez biurokrację, która tymczasem pod jego batutą wyrosła na warstwę rządzącą i narzuciła masom sowieckim swoje własne koncepcje. Te obrończe w masach odruchy, które się narzuconym przez biurokrację koncepcjom przeciwstawiają, znajdowały napewno uznanie u Zinowiewa, Radka, Bucharina i innych starych bolszewików. Byłoby jednak naiwnością wierzyć, że prowadzili oni jakąś kontrewolucyjną działalność. Tylko laik nie znający zasad działalności wśród mas, mógłby uwierzyć, że owi przywódcy organizowali zamachy dynamitowe na pociągi z wojskiem, albo na kopalnie lub fabryki. Tylko głuptak nie rozumiałby, że schwytany na gorącym uczynku zbrodni, utraciłby na zawsze wpływy wśród mas. A bez mas niesposób osiągnąć zamierzonego celu. Nigdy też na gorącym uczynku zbrodni nie schwytano ani Zinowiewa, ani Radka, ani Bucharina. „Sabotażnicy", wywodzący się bądź z malkontentów burżuazyjnych, bądź z prostego niedbalstwa, zostali dawno ukarani, zgodnie z istotną treścią swego przestępstwa. Dopiero czas i nagle odczuta potrzeba odgrodzenia mas od starych przywódców obciążyły dawnych przeciwników Stalina fikcją nowej winy i zbrodniczości.

W istocie zaś, jak widzimy, wina Zinowiewa, Piatakowa, Radka, Bucharina i Rykowa polegała po prostu na tym, że istnieli, że znani byli masom z dawnej opozycji antystalinowskiej, a zatem stawali się sztandarem starego, niespaczonego przez stalinowską biurokrację reżymu.

Nie wchodzimy w to, o ile nadzieje buntujących się kół robotniczych, pokładane w ideologii skazanych i oskarżonych przywódców były słuszne. Chodzi nam nie o rozpatrywanie kolejnych założeń poszczególnych grup, wiodących między sobą spory teoretyczne. Chodzi nam o stwierdzenie faktu, który tak tragicznie się zarysował, a którego tragizm wywodzi się z długiego okresu procesów, kształtujących nowe warunki społeczne w Rosji Sowieckiej. Powtarzamy zatem: musieli zginąć, bo w oczach mas istnieli, jako resztka myśli innej niż dzisiejsza sowiecka rzeczywistość. Przed nimi i po nich zginęło i zginie jeszcze wielu bez rozgłosu i wrzawy.

Najtragiczniejszym momentem w owych procesach śmierci, „procesach czarownic", jak mówi Fryderyk Adler, jest „przyznanie" się oskarżonych do zarzucanych im zbrodni.

Nie ulega wątpliwości, że z kolei Bucharin i jego towarzysze „przyznają" się również. Z oskarżenia przytoczonego przez „Izwiestia" widzimy, jak jurysdykcja sowiecka czepia się dziś faktów, które już lat

---

Kohorty faszystowskie w Hiszpanii, dawszy się pobić wojskom republikańskim, postawiły Mussoliniego w położenie kłopotliwe, które jest zarazem i śmieszne i tragiczne.

A jednak, z narażeniem swego uroku, musi on w dalszym ciągu poszukiwać sławy orężnej: bo tylko sława uświetnić może żałobę, jaką lud włoski nosi po utracie swej wolności obywatelskiej.

---

temu dziewięć były znane, a za które w owym czasie nie skazano nikogo na śmierć, ani nie próbowano łączyć tych spraw ze zdradą kraju i zmową z obcymi państwami. Fakt ten jest godzien uwagi i zastanowienia. Świadczy on o „dociąganiu" oskarżeń do obecnej chwili i potrzeb warstwy rządzącej, co z kolei dobitnie potwierdza narodziny nowego stanu ustrojowego i państwowego w Z. S. R. R.

Ale wróćmy do zeznań oskarżonych: swoim potwierdzeniem winy dali oni światu widowisko, przed którym myśl ludzka zapada się w mrok. Słyszy się często zdania ludzi wrażliwych, że oskarżeni — jak Tomskij — powinni byli uniknąć ohydy procesów przez samobójstwo. Rada ta o tyle byłaby słuszna, o ile miałaby na myśli jedynie fizyczne katusze oskarżonych. Moralnie przypisanoby im te same zbrodnie, te same knowania z faszyzmem.

Bezwzględnie natomiast słuszną wydaje się nam teza, że oskarżeni znaleźli się w chwili aresztowania w wielkim psychicznym załamaniu, w jakie popada człowiek, uderzony nagłym potwornym ciosem. A cios w nich wymierzony był ponad siły człowieka. Całe życie nieśli głowy pod topór, walcząc o socjalizm. I oto nagle postawiono im zarzut, że służą reakcji. Wyszukano w ich działalności słuszne, czy rzekome błędy i omyłki z przed wielu lat. Powołano się na teoretyczne spory z Leninem, niegdyś tak płodne i potrzebne, ale teraz przydatne jedynie biurokracji dla usunięcia ich z życia. W ten sposób oskarżeni znaleźli się w sytuacji, w której człowiek nie może się z niczego tłumaczyć. Wszystko jest beznadziejne. Cokolwiek powiedzieli w chwili aresztowania na swoją obronę, świat się o tym nie dowie. Gdyby stanęli mocno przy swoich tezach — mieliby proces tajny, zamknięty — jak wielu innych — po którym i tak ogłoszonoby, że byli w zmowie z Gestapo i przypisanoby im wszystkie inne zbrodnie.

Dlaczego jednak wybrali proces jawny, oni, stalowi rewolucjoniści? Czemu poddali się wulgarnej krytyce prokuratora, byłego wroga „chadeka" Wyszyńskiego.

Gdy się u nas w pewnych kołach mówi wśród inteligencji o zwyrodnieniu marksizmu w Rosji i o panujących tam stosunkach, słyszymy odpowiedź: „Tak. Ale ciszej o Sowietach, bo... faszyzm".

Istotnie, sytuacja, panująca w wielu krajach kapitalistycznych jest tego rodzaju, że powstrzymuje umysły krytyczne od wypowiadania swych zdań. Ta właśnie sytuacja w dużym stopniu wpłynęła na rezultat procesów moskiewskich. Reżym stalinowski dla swego zcementowania wykorzystał i zanik wolności w państwach totalno-kapitalistycznych i wojnę domową w Hiszpanii.

Ludzie szepczą: „Ciszej o Sowietach".

Czy w obliczu zdecydowanej już śmierci, oskarżeni moskiewscy nie myśleli tak samo? Czy ufni w to, że historia oczyści ich z zarzutów, nie poświęcili chwilowo siebie, aby ratować cel, ku jakiemu wiodło ich życie? Skoro zaś tak czy inaczej miano uczynić z nich zbrodniarzy, rzucili oni — w psychicznym załamaniu — sami przeciwko sobie oskarżenie, upatrując lub chcąc widzieć w nienawistnym stalinizmie świat lepszy, mimo wszystko, niż świat faszystowski?

„Nie umiałem służyć partii, niech choć moja śmierć jej służy" — wołał Kamieniew ze swej ławy podsądnych.

W okrzyku tym na pewno kryła się myśl, w pierwszej jego części, odnosząca się do tych czasów, gdy jeszcze można było stawiać tamy stalinizmowi, którego groźnych zapędów podówczas nie doceniano należycie. Druga część okrzyku jakby odnosiła się do mas rosyjskich: „Trwajcie w spokoju".

***

Nie będziemy tu rozważali, o ile słuszne jest owo panikarskie „Ciszej o Sowietach".

Wymagałoby to osobnego artykułu. Wydaje nam się jednak, że obawy te są niepotrzebne. Masy nie zaprzestaną walki z faszyzmem, który nie jest jakąś nową formą rozwiązania zagadnień społecznych, lecz jest chorobą wyrosłą na gruncie starego organizmu gospodarczego. *Rujnujący system faszystowski odejść musi. Ale to wcale nie znaczy, że zastąpić go powinien despotyczny system sowiecki.*

Masy ludowe i ten system odrzucą. Ażeby jednak w jakiejś chwili masy te nie zostały w kleszcze sowieckie chwycone, muszą ten system poznać i zrozumieć. Nie widzimy więc potrzeby chowania głowy w piasek. Miliony robotników i chłopów żądają samodzielnego i wolnego życia, bez którego — jak to widzimy na ponurym przykładzie rosyjskim — nie ma również oświaty i chleba.

Wł. Kowalski

IMPERTYNENCJE, HEREZJE I PRAWDY

WE WSPOMNIENIACH STAREGO GERMANOFILA

Władysław Studnicki ogłosił w zeszłym miesiącu książkę p. n. „Ludzie, idee i czyny". Książka stanowi pewnego rodzaju curiosum, jako rzecz, w której fanfaronada splata się z istotną odwagą słowa, a ruchliwość myśli z czupurnością, właściwą naturom karłowatym. Zamiast recenzji z książki, dajemy szereg wyjętych z niej ustępów, poświęconych charakterystyce różnych wybitnych osobistości dni dzisiejszych i wczorajszych. Czytając je, należy pamiętać o stanowisku, jakie autor zajmuje w życiu polskim od lat 20-stu: jest to stanowisko nieuleczalnego germanofila, niegdyś czciciela Hohenzollernów, a dziś wyznawcy Hitlera.

REDAKCJA „EPOKI".

IGNACY PADEREWSKI

Ignacy Paderewski zdaje się jest pierwszym muzykiem, którego okoliczności wciągnęły do polityki i zmusiły do odegrania roli publicznej. Muzyka wyraża przede wszystkim nastroje, oddziaływa nie na centra myślowe, lecz na centra uczuciowe. Poeta musi nie tylko dużo odczuć, lecz i dużo przecierpieć, musi dużo przemyśleć, dużo wiedzieć. Muzyk, zwłaszcza wirtuoz-wykonawca, może być ignorantem, z minimalnym cenzusem wykształceniowym, pozwalającym na przyjęcie do konserwatorium.

Ignacy Paderewski wstąpił do konserwatorium w 12-tym roku życia. W tym przeciągu czasu grywał po 6 godzin na dobę; poza tym studiował przedmioty muzyczne; minimalny czas pozostawał mu dla ogólnego wykształcenia i dla rozmyślania. Od 12-go do 60-go roku życia kilkanaście godzin na dobę grał; grał, więc nie myślał. Ćwiczył się w muzyce; ćwiczył się w niemyśleniu, a myśmy go zrobili premierem.

Jego biograf Landau twierdzi, że Paderewski miał nieco kobiecą urodę; odpowiadało to jego nieco kobiecej naturze; pragnienie podobania się było jego siłą motorową.

Żadna elegantka tak nie przestudiowała swoich ruchów, spojrzeń i ukłonów, jak Paderewski. Nie wiele elegantek dbało tak o swe stroje, jak Paderewski, sprowadzający koszule jedwabne z Japonii, paradujący w białych kamizelkach.

Wchodził na estradę z wdziękiem baletmistrza. Oklaski były jego potrzebą; niskie ukłony, zgrabne cofanie się w tył, były jego funkcją, zajmującą drugie miejsce po jego muzyce.

Paderewski miał grube pieniądze. Polityka potrzebuje pieniędzy; politycy więc zarzucili wędkę na Paderewskiego. Paderewski, dzięki swej próżności, rozmiłowaniu w hołdach i komplementach, łatwo dał się złapać takiemu, w swoim czasie zręcznemu łowcy rybek złotych, jakim był Dmowski.

Gazeta „2 grosze" zawdzięczała swe powodzenie Paderewskiemu, i musiał wielki artysta wypierać się przed Żydami amerykańskimi, że nic nie ma wspólnego z tym antysemickim pismem: on bynajmniej nie chciał bojkotować Żydów, i — niech Żydzi go nie bojkotują.

Pragnąc przeciwdziałać naszym przygotowaniom do walki z Rosją w razie wojny przez skupienie uwagi społeczeństwa na froncie antyniemieckim, nasi endecy oraz masoni naciągnęli Paderewskiego na budowę pomnika Jagiełły, co wywołało urządzenie wielkiego obchodu Grunwaldzkiego w 500-ną rocznicę Jagiełłowego zwycięstwa... Paderewski przyjechał na obchód; był tam pierwszą osobą, do czego przyczyniła się też ta okoliczność, że Sienkiewicz zrozumiał fatalne tendencje tego obchodu i nie przyjął godności prezesa komitetu obchodowego. Paderewski wygłosił mowę przy odsłonięciu pomnika, będącą nagromadzeniem bezmyślnych frazesów.

Powołany (w styczniu 1919) przez Piłsudskiego na premiera, Paderewski przyjęty został entuzjastycznie przez ludność Warszawy. Chwilowo był najpopularniejszym człowiekiem w Polsce... W sejmie Paderewski opierał się o endecję i jej przybudówki, jak grupa Skulskiego, różniąca się od endecji tylko mniejszą zachłannością, chrześcijańska demokracja i niektórzy z posłów galicyjskich.

Między Paderewskim a Piłsudskim istniał głęboki antagonizm.

Paderewski był zapatrzony w koalicję, jak w słońce.

Dla Paderewskiego Polska była nicością, którą mogła stać się i stawała się czymś z łaski mocarstw Ententy.

Działało tu odziedziczone służalstwo drobnych oficjalistów, ojców i dziadów Paderewskiego wobec wielkich panów, jego chęć zdobywania poklasków na obcych terenach, jego nieznajomość sił potencjalnych Polski.

Obecnie kilku polityków polskich rozgrzewa już przez pół zamarłe ambicje polityczne Paderewskiego, aby uzyskać od niego pieniędzy na akcję polityczną, którą nazywają akcją frontu Morges. Paderewski jednak jest trupem politycznym, i nie wskrzeszą go. Może się nieco obłowią, mniejsza o to.

GENERAŁ WŁADYSŁAW SIKORSKI

Sikorski (po przewrocie majowym) wyjechał za granicę, osiadł w Paryżu... Dawny bojowiec orientacji austriackiej, sprzymierzeniec państw centralnych, staje się 100-procentowym frankofilem... Poza tym popularyzuje się wśród kołtunerii warszawskiej artykułami, zamieszczanymi w każdym niedzielnym numerze „Kuriera Warszawskiego", treści polityczno-militarnej, o poziomie nie wiele odbiegającym od artykułów Koskowskiego i innych usypiaczy w tym piśmie. Stosunek do Francji ujmuje jakoś kantyczkowo:

Ten, kto przy Francji łaskawej stoi,
Żadnych się nieszczęść niechaj nie boi.

Bezwarunkowo, artykuły te mogą obniżyć Sikorskiego w oczach rozumnych ludzi. On wszakże rachuje na to, że ludzie tacy stanowią nieznaczną mniejszość.

WŁADYSŁAW STUDNICKI O SOBIE

W okresie sulejówkowskim manifestowałem bardziej, niż w innych, sympatię swoją do Piłsudskiego, gdyż nie mogło to wówczas nosić charakteru pogoni za karierą. W wydanej przeze mnie broszurze „Polityka polska i odbudowa Państwa" w odpowiedzi na książkę Dmowskiego podnosiłem zasługi Piłsudskiego w tworzeniu armii i Państwa.

Broszurę tę posłałem Piłsudskiemu. Mówił on Władysławowi Goździkowskiemu, który wówczas odwiedzał pp. Piłsudskich, że podoba mu się ta broszura i ma zamiar napisać do mnie list, w którym podziękuje za nią. Listu takiego jednak nie napisał...

Przed przewrotem majowym i po przewrocie posyłałem mu każdą nową moją książkę. Na książce „Rosja sowiecka w polityce światowej" napisałem dwuwiersz: „Znam więcej, niźli Twoje archanioły, Wart, ażebyś ze mną władzą dzielił się na poły". O archaniołach, otaczających Piłsudskiego, nie miałem zbyt wysokiego pojęcia. Indywidualność Marszałka ich przytłaczała...

KS. EUSTACHY SAPIEHA

...We wrześniu 1932 r. Sapieha miał referat na posiedzeniu stronnictwa konserwatywnego w Wilnie o potrzebie zbliżenia się polsko-niemieckiego i dowodził, że Polska winna zająć życzliwe stanowisko wobec Anschlussu.

Mocno wystąpił przeciwko temu redaktor Miedziński, nie orientując się zarówno w polityce zewnętrznej, jak i w linii politycznej Marszałka Piłsudskiego.

SKĄD WYRÓSŁ ROMAN DMOWSKI?

Dmowski, syn mieszczanina praskiego, pochodzącego z Podlasia. Był to mały przedsiębiorca i majster brukarski; dorobił się kamieniczki na Pradze; był, zdaje się, alkoholikiem...

Kiedyś hr. Adam Krasiński opowiadał, że w 1905 roku Roman Dmowski, gdy siedział u niego w gabinecie, w jego pałacu, Krakowskie Przedmieście 5, wskazał przez okno na dziedziniec i powiedział:

— Ten dziedziniec pamiętny nie tylko dla pana hrabiego, ale i dla mnie, bo mój ojciec ten dziedziniec brukował.

Hrabia Adam wywnioskował stąd, że Dmowski jest człowiekiem silnym, skoro nie ukrywa swego pochodzenia — ze sfery przez pół robotniczej. Nie rozumiał hrabia Krasiński, że to powołanie się na ojca brukarza miało wykazać, że jest samorodkiem, dziecięciem ludu.

W 188... roku młody oficer armii rosyjskiej, Polak, syn powstańca 1863 r., stacjonował ze swym pułkiem w okolicach Warszawy i otrzymał rozkaz przewiezienia swej roty do koszar warszawskich.

Gdy pociąg zbliżył się do dworca petersburskiego na Pradze, oficer Polak doświadczył bolesnego uczucia: uporczywie stanęło przed nim wspomnienie rzezi Pragi i myślał, z jakąż nienawiścią i bólem będą patrzyli mieszkańcy Pragi na niego i jego żołnierzy, maszerujących po tym przedmieściu, oblanym krwią ich dziadów. Tymczasem tłum gapił się radośnie... Praga wszystko zapomniała. Praga nie ma pamięci historycznej.

Z tej sfery, która o wszystkim zapomniała, która nie ma pamięci historycznej, wyrósł Roman Dmowski.

W kilka tygodni po Dniach Słowiańskich (r. 1908) w Petersburgu odbyły się Dni Słowiańskie w Pradze. Różne grupy posłały swych przedstawicieli. Otóż w bufecie adwokat Konic zwrócił uwagę, że nikogo nie brakuje... Dmowski był już po dobrym śniadaniu i po paru kieliszkach dobrego wina, więc rzucił bardzo szczerze aforyzm:

— Gdzie trzeba zrobić jakieś łajdactwo, to wszyscy Polaczkowie się zbiegną

ALEKSANDER LEDNICKI

Lednicki był charakterystyczną postacią w dziejach naszych ostatniego 30-lecia.

Nie ulega wątpliwości, że stanie się w przyszłości przedmiotem studiów, mono-

grafij przyszłych historyków Polski, badaczy doby przedwojennej i powojennej. Uwagę ich pochłaniać będzie akcja Lednickiego w okresie kryzysu państwowego Rosji 1904—05 r., Dumy, a nade wszystko w okresie wielkiej wojny. Zainteresuje ich pytanie, dlaczego ten człowiek nie został odpowiednio wyzyskany dla odrodzonego Państwa Polskiego, chociaż talentem i wiedzą przewyższał $^9/_{10}$ ministrów polskich, co zresztą nie było bardzo trudne.

Od początku do końca wojny, a nawet i po wojnie, kiedy wszystkie dawne przedmioty sporu stały się już nierealne, Narodowa Demokracja występowała przeciwko Lednickiemu. Mniej znając Rosję, gorzej orientując się w jej stanie, stawiała ona na Rosję i na jej zwycięstwo jeszcze wtedy, gdy Rosja stawała się już niezdolna do boju i wstępowała w okres rozkładu. W przejściu od autonomii do niepodległości, w akcji przedsięwziętej w celu uznania tej niepodległości przez rząd tymczasowy (rosyjski), Lednicki i jego przyjaciele zdystansowali Narodową Demokrację.

I to było głównym źródłem jej niechęci, nawet nienawiści w stosunku do Lednickiego. Zasługę proklamowania Państwa Polskiego przez rosyjski rząd tymczasowy usiłował przypisać sobie Roman Dmowski, twierdząc, że to on wpłynął na rząd angielski, aby wywarł nacisk na Rosję w sprawie niepodległości Polski. Nie odpowiada to prawdzie...

Lednickiemu szło wszystko jak z płatka w ciągu pierwszych czterdziestu kilku lat jego życia... Żył w atmosferze powodzenia i uznania, i to nie usposabiało go do walki, nie zahartowało do niej. Stąd wrażliwość na niesumienne ataki ze strony przeciwników, stąd — tragiczny koniec.

BOGDAN HUTTEN-CZAPSKI

Hrabia Bogdan, właściciel znacznych dóbr, przedstawiciel historycznego rodu, skojarzonego z najbardziej znakomitymi historycznymi rodami, nie oddał się całkowicie sprawom gospodarczym swych dóbr...

We wczesnej młodości był mile widziany na dworze Piusa IX i lubiany przez tego papieża...

Po tym obracał się w sferach arystokratycznych...

Po tym był mile widziany na dworze króla pruskiego, starego cesarza Wilhelma, który go zachęcał do kariery oficerskiej...

W wojsku doszedł do rangi pułkownika... Był przydzielony do poselstwa niemieckiego w Paryżu; był dłuższy czas w Alzacji przy namiestniku Manteuffl...

Taki przebieg życia dał mu styczność z mężami stanu, dygnitarzami Niemiec, książętami krwi...

Mogłyby więc pamiętniki Hutten-Czapskiego być bardzo zajmujące...

Pamiętniki te jednak nie dają tego, co by dać mogły...

W pamiętnikach spotykamy wciąż podanie wiadomości do jakiego panującego lub dygnitarza został on zaproszony na obiad czy kolację, jakie grono dygnitarzy było tam obecne... Lecz o czym mówiono, jak reagowano na wypadki polityczne, o tym hr. Hutten-Czapski nie podaje najczęściej żadnej wiadomości.

Czuje się, że mu imponowało, że był przyjęty do najwyższych sfer państwowych i towarzyskich...

JAN KUCHARZEWSKI

...Kucharzewski nie mógł nic zrobić w charakterze premiera Rady Regencyjnej. Rada Regencyjna składała się z trzech członków, z których tylko jeden, a mianowicie Zdzisław książę Lubomirski był człowiekiem żywym... Arcybiskup Kakowski, z natury apolityczny, znajdował się pod wpływem do szpiku zdemoralizowanego indywiduum, ks. prałata Chełmickiego, w swoim czasie mocno zaangażowanego w moskalofilstwie, przyjaciela rosyjskich dygnitarzy, z którymi obrabiał nieczyste interesy;, chciwego na pieniądze, które mu były potrzebne dla prowadzenia rozwiązłego życia. Trzeci członek, Ostrowski, bardzo oczytany erudyta, miał już bardzo osłabioną władzę myślenia...

Dzieło „Od białego caratu do czerwonego" jest kapitalną pracą Kucharzewskiego z ostatnich lat piętnastu... K-i zajmuje wybitne i samodzielne stanowisko wśród naszych historyków. Nie jest on połykaczem pyłów archiwalnych, nie popełnił „odkryć naukowych" w wydobywaniu ciekawostek, tajników różnych większej i mniejszej miary nieboszczyków; jest za to socjologiem, wykazującym istnienie stałych czynników w historii i wzajemny stosunek zjawisk dziejowych. Ujmuje on syntetycznie fakty znane wielu historykom, lecz nienależycie przez nich rozumiane; jest pisarzem politycznym, usiłującym znaleźć drogowskaz polityczny przez badanie Rosji, która zaciążyła w ciągu wieków na naszym rozwoju.

WINCENTY WITOS

Do pierwszego szeregu tych, co ratowali Polskę w r. 1920, zaliczyć należy Witosa. Przyznał to nawet sąd, rozpatrujący sprawę brzeską.

Gdy Witos przestał być premierem, na zebraniu ludowców i „wyzwoleńców" został zaatakowany przez tych ostatnich, że nie spełnił swego przyrzeczenia, że oszukał chłopów, że nie dał im ziemi w 1920 roku.

Witos słuchał tego dłuższy czas spokojnie, a po tym, zabrawszy głos, powiedział, że podczas swego premierostwa nie mógł załatwić sprawy agrarnej, bo była wojna i trzeba było wszystkie siły i czas obronie Państwa poświęcić. Po wojnie przestał być premierem; na zarzut zaś, że oszukał chłopów, odpowiedział:

— Jeżeli oszukałem, a było to potrzebne dla ratowania Polski, to dobrze zrobiłem. I powiem wam: ilekroć trzeba będzie dla ratowania Polski was oszukać, to was oszukam.

To postawienie sprawy zaimponowało i uzyskało poklask. Witos umie kierować nastrojami zgromadzenia chłopskiego.

HANDEL I MASKARADA

„*Wiadomości Literackie*", zamieszczając artykuły Aleksandra Świętochowskiego i Jerzego Hulewicza o kwestii żydowskiej, dały obfity pokarm całej prasie antysemickiej. W dziesiątkach pism cytuje się słowa Świętochowskiego który już nie od dziś sankcjonuje i podsyca walkę żydożerczą. Prasa antysemicka korzysta również z wywodów znanego grafomana, Jerzego Hulewicza.

Redakcja „*Wiadomości Literackich*" bawi się w „bezstronność", w „obiektywizm". Nazywa się to „zapoczątkowaniem dyskusji". Taka oto „wolna trybuna". Innymi słowy — sklepik z różnymi „artykułami", indyferentyzm, jeśli nie cynizm poprostu. Niech sobie wszyscy piszą, co chcą, a naszą rzeczą jest dobrze sprzedać ten „towar", raz taki raz owaki.

Czy redakcja „*Wiadomości Literackich*" ma jakieś własne przekonania? Jeśli tak, to zamieszczanie artykułów, tym przekonaniom przeczących, szerzenie poglądów i opinij, które uważa się za mylne i szkodliwe, nie jest „obiektywizmem", lecz handlarską maskaradą.

W ATMOSFERZE WZAJEMNEGO ZAUFANIA

Dziwny i przykry zarazem, a jednocześnie prawie powszechnie spotykany w naszej rzeczywistości objaw: brak wiary we własne siły, poddawanie się fatalizmowi, a tym samym przecenianie możliwości posiadanych przez przeciwnika. Powstaje zaraz pytanie: Skąd to pochodzi? Co jest przyczyną tego pesymizmu życiowego? I czy naprawdę istnieje jakieś obiektywne uzasadnienie takiego stanu duchowego.

Przed odpowiedzią na te pytania należałoby uprzytomnić sobie obraz współżycia różnych warstw społecznych, znajdujących się na wspólnej w ogólnym zarysie platformie ideowej. W tym wypadku chodzi nam o ugrupowania i prądy demokratyczne. Na pamięć i na wyrywki każdy z nas potrafi wytyczyć trzy główne grupy, składające się na obóz demokratyczny. A więc: pracownicy umysłowi, robotnicy i chłopi. I co dalej? Jaka jest charakterystyka poszczególnych grup? Co naprawdę jedni o drugich wiedzą, pomimo wspólnego marszu i jednego w zasadzie celu?

Mało. Nawet bardzo mało. Zamiast istotnych rzeczywistych wiadomości, spotykamy się nazbyt często z legendami, lub też nie rzadko ze zwyczajnymi fałszami. I to nawzajem. Bo przecież nie brak czynników, którym zależy na skłóceniu chłopa z robotnikiem, a tych razem znów z pracownikiem umysłowym, w myśl starej, wypróbowanej i umiejętnie stosowanej zasady: divide et impera.

Gdy się tak z bliska i dobrze tym sprawom przyjrzeć, a przytym wziąć pod uwagę dotychczasowy całkowity prawie brak kontaktu demokratycznych prądów miejskich z podobnymi grupami i prądami wiejskimi, to jasnym się staje, iż odosobnienie i brak dokładnej znajomości swego naturalnego sprzymierzeńca, stanowi jedną z najistotniejszych przyczyn zbyt słabej wiary we własne siły. Tylko tak uważnie spojrzeć i dokładnie policzyć siebie i swoich, a wiele otuchy wstąpiłoby w nasze dostatecznie liczne, tylko nie zawsze wiedzące o sobie, szeregi.

Jedną z najważniejszych pozycyj demokracji polskiej jest obecnie bezsprzecznie ruch ludowy, zbyt mało w stosunku do swej wagi znany i doceniany na terenie miejskim. Nie rzadko bowiem jakość tego ruchu szacowana jest na podstawie dawno przebrzmiałych już faktów, które w swoim czasie odgrywały może i znaczną rolę, ale po których dziś nawet śladu w szerokich masach ludowych nie pozostało. Na miejsce bowiem dawnego szarpania się od przypadku do przypadku, jakie można było niekiedy widzieć w ówczesnych ugrupowaniach chłopskich, ostatnio, po zjednoczeniu politycznych organizacyj wiejskich w jedno Stronnictwo Ludowe, oraz po mocnym okrzepnięciu „wiciowej" organizacji młodzieży — sprecyzowany został również program ruchu ludowego zmierzający konsekwentnie ku realizacji na demokratycznych zasadach opartej Polski Ludowej. Kierunek ten nosi również niedostatecznie jeszcze spopularyzowaną nazwę „agraryzmu"*) i stanowi całkowity plan zasadniczej przebudowy społecznej, gospodarczej i politycznej.

*) P. St. Miłkowski: „Walka o nową Polskę". Skład główny — Warszawa, Księgarnia Naukowa.

Czy są różnice ideologiczne wśród ludowców, obejmujących przecież zróżnicowany pod wieloma względami element i na różnych terenach mieszkający? Tak — są różnice, ale mieszczące się w ogólnych ramach programowych; zdarzają się różne zdania w odniesieniu do pewnych spraw, ale w zasadniczych kwestiach panuje całkowita jednomyślność. Trzeba sobie bowiem zdać sprawę z tak dużego scementowania organizacyjnego w ruchu ludowym, iż o jakimkolwiek poważniejszym rozłamie mowy być nie może, a stan podobnej zwartości, i ciążenia dośrodkowego nie dałoby się przecież osiągnąć bez jednolitości poglądów w zasadniczych sprawach programowych.

Jednym z kardynalnych zadań zorganizowanego ruchu ludowego jest — wyrównanie kulturalne pomiędzy miastem i wsią, a więc gruntowne i głębokie przeoranie dotychczas panujących stosunków, zmierzające ku wytworzeniu nowych wartości kulturalnych i upowszechnieniu zdobytych na tym polu rezultatów. Zadanie to stanowi kamień węgielny agraryzmu i jest jednocześnie punktem wyjściowym ku całkowitej przebudowie ustroju. Możność łatwego posiadania oraz umiejętność czytania i rozumienia gazety i książki, dostęp do bibliotek i czytelni, przybliżenie teatru i spopularyzowanie kina oraz radia i wiele, wiele podobnych rzeczy. — wszystko to musi być udostępnione dla wsi. Chodzi bowiem o wychowanie człowieka i obywatela.

Jasnym się staje, że dla zrealizowania tych zadań koniecznością jest przeprowadzenie całego szeregu reform ustrojowo - gospodarczych. I w tym przedmiocie stanowisko ruchu ludowego jest wyraźne. Agraryzm stanowi antytezę ustroju kapitalistycznego, jak i korporacyjno - faszystowskiego, czy też komunistycznego. Zasadniczą formą gospodarki byłaby szeroko rozbudowana spółdzielczość o charakterze zarówno spożywczym, jak i wytwórczym.

Reforma rolna bez wykupu stanowi jedno z centralnych ogniw planu przebudowy w duchu agrarystycznym i jest czymś, co stoi poza wszelką dyskusją. Wysuwane przez przeciwników zarzuty, iż przebudowa ustroju rolnego w sensie parcelacji wielkich majątków ziemskich i utworzenia na ich miejsce małych gospodarstw chłopskich, sprowadziłaby obniżenie produkcji rolnej i hodowlanej, zostały gruntownie wyświetlone i obalone przez ostatnie badania, co więcej — nie ma dziś wątpliwości, iż właśnie samodzielne małe gospodarstwa rolne posiadają stosunkowo największą siłę produkcyjną.

Kwestia kontroli społecznej w przemyśle, wykonywania na szeroką skalę robót publicznych, a wreszcie, jeżeli chodzi o całość zagadnienia, gospodarka planowa — to wszystko są istotne czynniki składowe ogólnego programu.

Pod względem politycznym ustrój demokratyczno - parlamentarny przy daleko posuniętej kontroli publicznej i odpowiedzialności rządu przed parlamentem — to elementarny warunek, pozwalający na naturalny i celowy rozwój zamierzonej przebudowy ogólnej. Wolność jednak, bez anarchii, bez tolerowania bandytyzmu pod jakąkolwiek bądź postacią i bez wzniosłych a pustych jednocześnie deklamacyj, którym towarzyszy paraliż woli oraz

gnuśność czynu, kiedy działać trzeba szybko i skutecznie.

Do rzeczy bezspornych i powszechnie na terenie ruchu ludowego uznanych należy wolność sumienia pozwalająca człowiekowi być panem swych myśli i wierzeń, podobnie zresztą jak to myślą i czują wszyscy ci, dla których pojęcie „wolność" nie jest pustym frazesem i odświętną tylko deklaracją.

Taki w dużym skrócie jest mniej więcej obraz myśli i dążeń w ruchu ludowym, który narasta ciągle nowymi wartościami, i — już w obecnym stadium — znajduje się bez zastrzeżeń na platformie wspólnej dla całego świata pracy w Polsce. To jest rzecz o dużej doniosłości również i dla demokratycznych ruchów miejskich, trzeba sobie tylko ten stan uświadomić i wyciągnąć należyte wnioski, zmierzając ku wzajemnemu poznaniu się, oraz nawiązaniu i zacieśnieniu stosunków.

Samo życie i rozgrywające się wypadki powodują trwałe formowanie się w Polsce zespołu demokratycznego, którego zadaniem w najogólniejszych zarysach byłaby realizacja: wolności politycznej; na wzajemnym poszanowaniu człowieka opartej równości społecznej; oraz z potrzeb szerokich mas ludowych wypływającej sprawiedliwości gospodarczej. T nie będzie tylko sztuczny zlepek stworzony głównie dla obrony przed faszyzmem i wogóle wszelkiego rodzaju dyktaturą, nie wyłączając, rzecz prosta, dyktatury komunistycznej, — lecz całkowicie pozytywna siła twórcza, zmierzająca do budowania, a nie tylko negacji. I ten właśnie pierwiastek twórczy nadałby demokracji polskiej dużo rozmachu, pozwoliłby na szybkie dojście do równowagi wewnętrznej oraz okrzepnięcia zewnętrznego.

Już na pierwszy rzut oka dają się zauważyć ośrodki demokratycznej myśli, należałoby je tylko zbliżyć i powiązać; nie mechanicznie, nie organizacyjnie nawet, a głównie przez wzajemne poznawanie się i narastanie świadomości o wspólnej pracy dla wspólnego w istocie swej celu, któremu na imię: demokratyczna Polska Ludowa.

To nie są mrzonki, ani też bujanie w obłokach, lecz najbardziej realne możliwości, których realizacja zależy od dobrej woli działających, uczciwości i dokładnej świadomości swych zadań. Trzeba jednak pamiętać o jednym: tu niema lepszych i gorszych, silniejszych i słabszych, uprzywilejowanych i upośledzonych. Jakież bowiem są u nas ośrodki demokratyczne? Wyliczyć je łatwo: polityczne, zawodowe i oświatowe organizacje robotnicze;

nauczycielstwo, posiadające swoją silną i szeroko rozgałęzioną organizację;

pracownicy umysłowi w pewnych ośrodkach usamodzielnieni myślowo;

i wreszcie ruch ludowy na swym terenie politycznym i oświatowo - wychowawczym.

To są siły całkowicie realne i bezwątpienia wystarczające do wykonania dużych czynów. I tylko od nas samych zależy, czy dotychczasowym, niestety, zwyczajem będziemy jedni na drugich patrzeć z góry, uznając jedynie swoją własną wartość, czy też zabierzemy się do pracy na zasadach wzajemnego zaufania, dobrej woli i całkowitej równości.

Jest już najwyższy czas, ażeby każdy z nas w swoim sumieniu dał sobie i innym jasną i uczciwą odpowiedź.

Tadeusz Rek.

MŁODY NAUCZYCIEL NA REDUCIE WALKI

W 5-tym n-rze EPOKI, w krytyce poświęconej ciekawej powieści Łukasiewicza p. t. „Nauczyciele" poddaliśmy rozbiorowi czynniki, które, wedle Autora, są hamulcem w rozwoju naszego szkolnictwa. Ale w powieści tej, obok negatywu, jest także wysoce pouczający pozytyw: obraz wysiłków, obraz walki z marazmem, obraz narastania od dołu wartości, niedocenianych u góry, lecz nie mniej przeto trwałych i powołanych do zwycięstwa w przyszłości, na przekór wszystkim porażkom wczorajszym. Dla zrozumienia i oceny tej strony pozytywnej pragniemy z kolei uzyskać uwagę i zainteresowanie Czytelnika.

Właściwym bohaterem powieści St. Łukasiewicza („Nauczyciele") jest młody polonista Ładowski, który w prywatnym gimnazjum prowincjonalnym obejmuje swój pierwszy po ukończeniu studiów uniwersyteckich posterunek pracy. I on, choć, jako rasowy aryjczyk, wszystkie „końcówki" ma w porządku, nie utrzyma się dłużej nad rok jeden na zajętym stanowisku. Wszystko, co jest w nim zapałem młodości, wigorem inteligencji, wiarą w swą działalność pedagoga, będzie wyzwaniem, rzuconym w twarz panującemu systemowi szkoły; będzie zarzewiem potęgującej się walki między nim a dyrekcją, uosobioną w panu dyrektorze Ostaszewskim i jego karnej świcie.

W refleksach tej to walki toczy się akcja powieści. W jej mieniących się a niekiedy jaskrawych odblaskach ukazują się nam po kolei wszystkie jej postaci: stąd wyrazistość ich rysunku, stąd bezpośredniość wrażenia, jakie na nas sprawiają.

DWA ŚCIERAJĄCE SIĘ ŚWIATY

Autor, mimo niewybaczalnych błędów w pewnych partiach powieści, wyradniejących w dziennikarski reportaż, jest, na ogół, niezłym inżynierem ruchu i wcale zręcznym dowódcą sił na placu boju. Na placu tym mamy wciąż dwa ścierające się obozy. I choć przewaga odrazu jest widoczna po stronie marazmu i rutyny, to jednakże obóz Ładowskiego nie daje za wygraną i odnosi raz po raz sukcesy, jeśli nie łamiące sił przeciwnika, to demaskujące jego oblicze. Lecz z kogóż — spytacie — składa się obóz Ładowskiego? Czy on sam nie jest jedynym swoim żołnierzem i wodzem? Otóż nie! Podskórna ku niemu sympatia wzbiera nawet wśród czeladzi dyrektora. Otwartego sprzymierzeńca i przyjaciela ma on w Sadłowskim, kierowniku miejscowej szkoły powszechnej. Główne wszelako posiłki nadchodzą dlań z innej strony: ze strony młodzieży, którą uczy, do której umiał przemówić głosem żywego człowieka i która instynktownie czuje w nim jakąś wyższą klasę człowieczeństwa.

Na lekcjach młodego polonisty szybciej krąży myśl w głowach uczniów, goręcej biją serca w ich piersiach. Pomysł spojrzenia na arcydzieła naszej poezji od strony zagadnień i konfliktów społecznych nieci w chłopcach burzę zainteresowania. Próba przeprowadzenia w ich gronie dyskusji w sprawie żydowskiej, dyskusji, w której uczniowie-Polacy argumen-

tują obok Żydów i wraz z nimi wznoszą się do sprawdzianów obiektywnych i rzeczowych, spotyka się wśród młodzieży z odczuciem głębokiej satysfakcji moralnej. *Samodzielna myśl nauczyciela wyzwala utajoną samodzielność w uczniach.* Czy nie w tych młodych oczach, rozświetlonych wiarą w zdobywczy pochód człowieka na ziemi, dojrzewa odsiecz dla Ładowskiego? Widzi on tę odsiecz, jako nadzieję, ale z przeciwnej strony widzi ją także, jako groźbę, i pan Ostaszewski. On, jako dyrektor tej szkoły prywatnej, jest właśnie na to postawiony, aby na ruch młodzieży nie pozwalać, aby herezję myśli samodzielnej zdławić w zarodku. Dlatego między nim a Ładowskim nie może być ani zgody, ani rozejmu. I dlatego w końcu roku Ładowski musi odejść. Musi odejść wraz z doskonałym matematykiem Makowieckim. Odejść muszą obaj, jako uciążliwi entuzjaści swego powołania.

FABRYKA MATUR

Nie lekcja fizyki, lub chemii, rzucająca w młode umysły siew zapału dla odkryć badawczych; nie wykład historii, ukazujący w dziejach człowieka dzieje walki o wolność i kulturę, ale demonstracyjna — pod wodzą katechety — pielgrzymka uczniów do kościoła na rekolekcje jest kulminacyjnym przeżyciem w repertuarze zajęć szkolnych. Jakże dumny się czuje w takiej chwili pan dyrektor, gdy obok księdza-prefekta przewodzi swemu orszakowi młodzieży! Czuje on wtenczas głębiej, niż kiedykolwiek, że szkoła pod kierunkiem takich, jak on, pedagogów godnie służy panującej hierarchii władz. Co więcej, ta panująca forma współżycia musi przed oczyma dziecka występować w samym układzie hierarchii szkolnej: w stosunku dyrektora do subordynowanego nauczyciela subordynowanego — podkreślmy — nie tylko służbowo, na gruncie pracy zawodowej, ale społecznie i towarzysko, na gruncie stosunków pozaszkolnych. Nauczyciel, jak pokazuje Łukasiewicz, nie ma dostępu do sfer, w których obracają się dyrektor i jego protektorzy, a zwłaszcza ich kobiety: żony i córki. Odbiciem zaś tego wymownego upośledzenia jest *ogólna degradacja stanu nauczycielskiego w całym środowisku miejskim.* Jeśli gdzie, to tu właśnie, w doli proletariatu nauczycielskiego czai się gorycz i klątwa ubóstwa: bo ubóstwo jest straszne nie samo przez się, nie przez nakaz wyrzeczeń, który zawiera w sobie, *ale przez to, że bywa piętnem poniżenia, że człowieka spycha w dół i zakuwa w zależność od innych.*

Nauczyciele w powieści Łukasiewicza czują potrzebę radości, odwagi, optymizmu. Łakną pewności siebie, jaką daje inteligencja i wiedza, pogłębiana pracą. Chcieliby żyć bogatszym życiem wewnętrznym, aby móc jego zasobami dzielić się z młodzieżą, podnosić skalę jej uczuć i myśli. Uczeń, patrząc na swego wychowawcę — powiada Ładowski — powinien budować się już samym jego życiem, organizacją jego życia, tak, by czuł dla niego szacunek i podziw. A tymczasem jak jest dzisiaj? Dziś chłopak, patrząc na swego nauczyciela, czuje tylko chęć naigrawania się zeń i szydzenia. Bo cóż w osobie tego nauczyciela, najczęściej „zabiedzonego chuderlaka", rzuca mu się w oczy? Słabość, śmieszność, bezradność odosobnienia: to właśnie, co w chłopaku prowokuje strunę ironii, mocy i wyższości. Gdy chłopiec taki, na domiar, pochodzi z rodziny zamożnej, której progi niedostępne są dla jego nauczycieli, wyrabia się w nim mimo woli pogląd na szkołę, jako na sklepik zaopatrywania młodzieży w cenzus wykształceniowy, nabywany za pieniądze tak samo, jak nabywa się w sklepach konfekcję męską i damską. W takich to ośrodkach, gdzie opinia rodziców bezpośrednio przelewa się w umysłowość dzieci, matura szkolna, tak samo zresztą, jak po tym dyplom uniwersytecki, spada do roli towaru, mającego ustaloną na giełdzie publicznej wartość. W młodzieży, która z domu wynosi poczucie prerogatywy społecznej, a z gimnazjum lekceważenie swych przewodników, zawczasu dojrzewają instynkty, które z czasem, gdy przejdzie ona na uniwersytet, pozwolą jej chwycić za pałkę lub kastet w walce ze słabszym kolegą lub niedogodnym profesorem.

„TAKIE ŻYCIE TO — KATORGA"

Lecz jeśli nauczycielstwo gimnazjów ugina się pod swym okropnym losem, to cóż powiedzieć o jego kolegach ze szkół powszechnych?

— Jestem w gorszym położeniu, niż robotnik — spowiada się Ładoskiemu młody nauczyciel dziatwy robotniczej — bo i on, gdy tyle zarobi, co ja, uważa, że jest w nędzy, mimo swoich mniejszych potrzeb. Odrobi przy tym te swoje osiem godzin i jest wolny! A my, żeby pan wiedział, od rana do wieczora jesteśmy zaharowani, nawet w niedzielę każą nam wcześnie wstawać, z dzieciakami iść do kościoła, popołudniu dyżurować w świetlicach, lub latać z odczytami po mieście. Wściec się naprawdę można! I teraz powinienem być w kościele... Takie życie to istna katorga. — Za to wszystko — dopowiada inny kolega — nauczyciel na wsi dostaje sto z czymś złotych miesięcznie. A w każdej nowej reformie tego biednego, zamęczonego człowieka traktują jak najgorzej. Ponieważ wiedzą, że nie będzie krzyczał, zniesie wszystko w strachliwej pokorze, więc zabierają mu spokojnie, aby dać innym; aby wyposażyć majętniejszych.

— Jeszcze mężczyzna — zauważył ktoś trzeci — może na wsi jakoś wytrzymać, ale jak wyobrazić sobie samopoczucie młodej panienki, wygnanej gdzieś na odludzie, skazanej na samotność i ten zabijający ją trud?

— No, może wyjść zamąż — odzywa się jeden z przyjaciół Ładowskiego — powiedzmy za kolegę.

— Może, albo i nie! Na Śląsku naprzykład dla jakichś tajemniczych powodów zabroniono nauczycielkom wychodzić za mąż pod groźbą utraty stanowiska!

Oto jedna z piekących udręk, które, z dawnych wywodząc się obyczajów, kolczastymi cierniami wpijają się w życie nauczycielstwa. Godnym jej odpowiednikiem jest inny — równie śląski — obyczaj łączenia zawodu nauczyciela szkoły powszechnej z funkcją kościelnego organisty. Te dwa nałogi, będące istną zakałą w urządzeniu naszej oświaty, świadczą same przez się, jak bardzo nad naszą Rzeczpospolitą ciążą jeszcze strupieszałe tendencje dawnej, staroszlacheckiej. „Zdegradować społeczną pozycję nauczyciela — trafnie ten wątek pleśni polskiej wyraża Łukasiewicz ustami swego bohatera — a przez tę degradację obniżyć poziom oświaty powszechnej, wszak to stara piosenka, szerząca niepostrzeżenie swój jad trujący, ten sam superegoistyczny jad szlachecki, który w wiekach XVII i XVIII spowodował załamanie się cywilizacji Polski i katastrofę jej państwowości!".

Gdyby Łukasiewicz w swych „Nauczycielach" stanął na wysokości tematu, który podjął, gdyby to, czego doznał, co widział i przeżył, umiał przelać w konkrety, nie potrzebowałby snuć uwag, podobnych

powyższej: uwag, będących jakby komentarzem do rozdziałów niezapisanych, jakby natrętną formą, w której publicysta podpowiada... powieściopisarzowi. Lecz jeśli książka Łukasiewicza nie pozostanie trwałym nabytkiem w naszej prozie artystycznej, to nigdy nie utraci roli i wartości świadka, inteligentne i rzetelne składającego zeznanie o jednej z najważniejszych dziedzin naszego życia publicznego: o tym, czym być mogła a czym się stała w pewnych warunkach, szkoła polska u schyłku drugiego dziesiątka dziejów nowej niepodległej Polski. Takiego świadka, nawet gdy się jąka, warto posłuchać. Bo to, co go przyprawia o błędy w wymowie, to jest być może, napór bolu, albo gniewu, który rozsadza pierś i ponosi rękę, nie czekając, aż oddech w miarowe ułoży się rytmy, a dłoń, trzymająca pióro, opanuje drżenie.

MAGIA CÓR BURŻUAZJI

Że jednak autor „Nauczycieli", mimo niedoborów i niedociągnięć swej powieści, nosi w sobie ziarna artyzmu i zdobywa się chwilami na akty bezinteresownego zapatrzenia w życie, świadczą sceny takie, jak ta, w której Ładowski, po swym efektownie wygłoszonym odczycie, dostępuje *łaski* zapoznania się z panną Badowską, córką możnego protektora szkoły. Nauczyciel, ośmielony sukcesem publicznego wystąpienia, sądzi, że ma prawo do przelotnej choćby uwagi ze strony pięknej i wyniosłej dziewczyny. Ta, istotnie, podaje mu rękę, ale tak, jak podaje się bezdomnemu pomoc zimową. A on? On patrzy na pannę z apetytem, ale i z nabożeństwem:

„Odczucie jej gładkich, długich i bezwolnych w jego ręku palców, było dla niego przeżyciem. Jak przedtym, przy zaglądaniu w oczy, tak teraz przy dotknięciu ciała przejęło go uczucie rozmarzającej poufałości. Pani Badowska (matka) zwróciła się do niego swobodnie:

— Bardzo dobrze udał się panu odczyt! — powiedziała protekcjonalnie.

Skłonił się w milczeniu za uznanie.

— Chodźmy już, mamusiu! — z żałosną niecierpliwością odezwała się panna.

— Dowidzenia panu! — powiedziała tedy matka, wysuwając z całą świadomością swoich praw Ładowskiemu rękę do pocałowania. Spełnił on ten obowiązek z wielką ochotą, mając nadzieję powtórnego ujęcia rączki córki, ale panna Badowska skinęła mu zdaleka głową i szybko wyszła z sali.

Ładowski patrzył na nią zawiedziony".

Ten dyskretnie rzucony obrazek, ten głodny zawiedziony wzrok, jakim ubogi inteligent ściga odchodzącą pannę, jakże wiele nam mówi o pisarskich zdolnościach Łukasiewicza! W kilku prostych, właściwie użytych słowach, dał on nam dramat jednostki, odepchniętej od progu swoich złudzeń; dał także dramat proletariatu, który, nie chcąc uznać się proletariatem, marzy, jak kopciuszek, o księżniczkach z burżuazyjnej bajki; dał wreszcie wzór owej magii, w którą oblekają się wypielęgnowane córy plutokracji a która, w oczach pariasów, jest dla ich klasy najlepszą tarczą przywilejów.

Jest najlepszą tarczą przywileju, gdyż ona to właśnie, owa magia wyższości, zaklęta w pysznej dziewczynie, uwiódłszy wyobraźnię i zmysły biednego polonisty, *zaciąży na jego duszy miarą upadku, gdy pójdzie szukać ulgi w objęciach prostytutki; stanie się dlań upokorzeniem i zgryzotą, gdy w innych kobietach szukać będzie odbicia wybranki*. To upokorzenie i zgryzota, jak niepozbyty wyrzut grzechu, truć i ścigać go będzie zawsze, ilekroć spróbuje czoło podnieść do walki. Posiać ziarno upadku, ziarno winy moralnej w kimś, kto mógłby być groźnym przeciwnikiem i którego, aby się lękać, aż nadto wiele istnieje powodów, czyż to nie diabelski tryumf strategii klasowej? Czy to nie sam geniusz klasy, zwycięsko stający u mety?

DZIŚ ZATRUDNIONY... JUTRO BEZDOMNY...

Ubogi nauczyciel, w przededniu swego wyrzucenia ze szkoły, dziś zatrudniony, jutro bezdomny, nieśmiało wzrok swój podnoszący ku burżuazji jak Ładowski ku niedostępnej pannie, która reprezentu wdzięk i pogardę swej klasy: to — jeszcze nie proletariusz. To tylko parias: — zdaje się mówić swą powieścią Łukasiewicz; to — tylko wygnaniec z raju mieszczańskich dóbr i kanonów. Ażeby poczuć się proletariatem, musi on krzywdę swoją przekuć na oręż walki i na ogniwo solidarności ze wszystkimi, którzy cierpią i którzy walczyć są gotowi.

— Jestem w gorszym położeniu, niż robotnik — skarżył się Ładowskiemu jeden z jego kolegów, malując stan nauczycielstwa szkół powszechnych. Diagnoza jest trafna. I nie trudno z niej wysnuć wnioski. Ale dziedzina i kierunek tych wniosków, sięgających w dziedzinę polityki społecznej i kulturalnej, leżą już całkowicie poza polem pracy i powołania autora „Nauczycieli", który chce — i ma prawo — być przede wszystkim *powieściopisarzem*.

W. Rzymowski.

FRANCISZEK FISZER

Dobrze ktoś napisał, że ludzi da się podzielić na takich, którzy mogliby wziąć udział w Symposionie Platona i na takich, którzyby tam zjawić się nie mogli.

Franciszek Fiszer nietylko wziąłby udział w tej uczcie nad ucztami, ale jeszczeby tam wniósł nowe blaski słowa i nowe błyskawice myśli.

Byłby tam najstarszy wiekiem, a najmłodszy duchem. Ucieszyłby Sokratesa, który tak samo uwielbiał słowo mądre, a zarazem radosne. Wzbudziłby entuzjazm zgromadzonych swoim gestem wspaniałym i patosem szlachetnym. Zadziwiłby wszystkich i postawą i głosem i śmiechem.

Jak Sokrates, nic nie pisał. I nie zajmował się niczym, tylko czytał i mówił. Rozmowa była jego pasją i żywiołem. Rozmawiał najchętniej i najdoskonalej z ludźmi twórczymi. Rozmawiał, jak nikt może ze współczesnych. Żył prawdziwie, najsilniej, najistotniej w sferze abstrakcji, w najwyższych regionach myśli metafizycznej. To, co nazywał „empirią", mniejsze miało dla niego znaczenie.

Lgnął do młodych, jako sam wiecznie i cudownie młody.

Kochał naukę, sztukę, literaturę. Mądra i piękna książka niosła mu niewymowną radość.

Był dobrym przyjacielem i miał wielu przyjaciół, po całej Polsce rozsianych. Zasmuciła ich, wstrząsnęła do głębi wiadomość, że już z Franiem rozmawiać nie będą.

Trzeba teraz pomyśleć o tym, żeby pamięć o nim nie zaginęła nietylko wśród przyjaciół. Niech inni również dowiedzą się, jak niepospolicie piękny człowiek żył za naszych czasów. Trzeba wydać księgę zbiorową o Franciszku Fiszerze. Tyle przecież wspomnień, tyle rzeczy niezwykłych, tyle wspaniałości!..

J. Wasowski.

MUZYKA SZYMANOWSKIEGO EWANGELIĄ MŁODYCH

Ponieśliśmy stratę ogromną, stratę niepowetowaną... Muzykę polską pokryła głęboka, serdeczna żałoba, a wraz z nią i całe społeczeństwo.

Za wcześnie odszedłeś od nas Mistrzu...

Zabrałeś z sobą w zaświaty niedomówione, jakby urwane w pół słowie myśli Twej wielkiej sztuki.

Zmarł artysta, który nie szczędził ani sił, ani genialnego swego talentu, hojnie nimi darząc i bogacąc Muzykę Polską. Zmarł twórca, myśliciel, patriota.

Dzieła Jego są dla nas współczesnych porywające i wzruszające do głębi, a przyszłość ogarną jak płomień żywotną swą i zapładniającą siłą, staną się niemal ewangelią muzyczną, z której jak z pięknej i mądrej księgi czerpać będą natchnienie przyszłe pokolenia. Geniusz Szymanowskiego stanowi epokę doniosłą, niesłychanie wartościową dla kultury naszego narodu.

Talent Karola Szymanowskiego wzniósł się na najwyższe, najszlachetniejsze wyżyny Sztuki. Z tej wyżyny przemawia do nas. Może Go czasem i nie rozumiemy, ale czujemy wszystkimi zmysłami to głębokie piękno, które nam niesie Jego muzyka.

Muzyki nie można rozumieć — trzeba ją odczuwać i kochać. Przechodzi ona z jednego serca, które ją stworzyło, przenika w serce, które ją przyjmuje i gości. Z gościny tej powstaje jakiś nieuchwytny, a mocny kontakt, jakieś wysubtelnione, nieuchwytne zbliżenie. Genialna twórczość Szymanowskiego, Jego piękna do głębi wstrząsająca wymowa dźwięków właśnie tak bierze za serce.

Chopin, obok którego na chlubnie zapisanej karcie historii Polskiej Muzyki stanęło w tej chwili, otoczone równą i chwalebną auerolą sławy nazwisko Karola Szymanowskiego, modlił się, buntował, błagał i rozpaczał, przez łzy tęsknoty śpiewał o swej dalekiej, zdawało się już na zawsze utraconej, Ojczyźnie. Szymanowski, syn wolnej, wielkiej i potężnej Polski rozbrzmiewał triumfalnym, zwycięskim pochodem dźwięków. Muzyka Karola Szymanowskiego stała się jakimś fantastycznym hymnem radosnym na cześć wolności, szerokim, pełnym krzykiem zerwanych pęt, pieśnią nabrzmiałą nowym życiem.

„Pieśń o nocy" — to jeszcze walka geniusza w kajdanach, to, mimo wielkich różnic stylu i formy, jeszcze chopinowskie bunty i zmagania. Jakże podniebną i piękną drogę przebył Szymanowski, by dojść w końcu do ekstazy, do nieomal wulkanicznego wybuchu oszałamiającej potęgi, jaka jest w „Harnasiach".

„Harnasie" — to granitowy dokument odrodzonej Polski, tej Polski — niezłomnej, niezwalczonej, zwartej.

W każdej symfonii, w każdej pieśni i każdej kompozycji Szymanowskiego tkwi nieśmiertelnie piękna i cenna myśl twórcza, myśl, z tytułu swej sztuki, należąca do wszystkich. Dla nas Polaków posiada jeszcze i ten ogromny walor, że jest tak rdzennie nasza, tak bezpornie — polska.

Pogrążeni w głębokim smutku, nie możemy się jednak oprzeć uczuciu wielkiej i szlachetnej dumy. Tak jest. Jesteśmy dumni z Ciebie. Jesteśmy Ci głęboko i serdecznie wdzięczni. Zamknąłeś w swych dziełach artyzm polskiej sztuki i tak, jak za Twego życia, tak i po Twojej śmierci w triumfalnym pochodzie po szerokim świecie będą te Twoje nieśmiertelne dzieła rozbrzmiewać, będą głosić i dokumentować niespożytą siłę i moc polskiego ducha twórczego.

Zginąłeś tam za granicami, jak żołnierz na posterunku.

Ugięło się Twe wątłe, wyczerpane chorobą ciało pod brzemieniem Twego nadludzkiego geniuszu i Twej sztuki.

Czerpałeś siłę swych natchnień z najistotniejszych, najżywotniejszych soków: z ziemi ojczystej.

Rozśpiewałeś się w „Harnasiach", rozmodliłeś się w „Stabat Mater".

Przyjęliśmy Cię ze czcią i smutkiem, z tej Twojej ostatniej doczesnej podróży. Prochy Twoje spoczęły w ojczystej ziemi, ale zostanie z nami to, coś stworzył.

Złożyliśmy Twe prochy w Krakowie, w tym odwiecznym Panteonie polskich pamiątek i polskich wielkości.

Jan Maklakiewicz

„SONATA KSIĘŻYCOWA"

Jeśli ktoś zapyta o przykład filmu, w którym spłaszczono do potworności zagadnienie centralne, osnowę tematyczną, wypadnie powołać się na „Sonatę Księżycową". Poruszono w tym filmie temat o skali olbrzymiej: zagadnienie wpływu muzyki na człowieka — ale poruszono po to, żeby zamknąć ten problem w skąpych ramach naiwnej opowiastki, jakby dyskretnie, na ucho opowiedzianej ploteczki z drobnomieszczańskiego saloniku. Ploteczki o tym, jak to na koncercie Paderewskiego młoda arystokratka zakochała się w pięknym oficerze — i pobrali się. A jakże — a potym córka tej arystokratki, słuchając „Sonaty Księżycowej" Beethovena (również w wykonaniu Paderewskiego), zrozumiała, co to jest miłość, i zapomniała o czarnym magiku posagowym (bo wydawało się jej przed tym, że go kocha), a całe swoje serce oddała dobremu Erykowi. Taka opowiastka to niezawodna recepta na kicz.

Reżyser Lothar Mandes próbował sklecić jakieś tło dla „kasowego" celu „Sonaty Księżycowej", t. zn. dla gry Paderewskiego. Niesamowicie wyprana z wszystkich wartości fabuła filmu usunęła się na plan jak najdalszy.

Koncert ma oczywiście obiektywną wartość — należało jednak tutaj wybrać między filmem „fabularnym" a filmem „archiwalnym". Chodziło tu o zarejestrowanie na taśmie gry i postaci Paderewskiego — można więc było z powodzeniem zrezygnować z „anegdoty", która tu obniżyła wartość archiwalną filmu.

Sam koncert Paderewskiego mógłby być prawdziwym arcydziełem filmowym, gdyby wykorzystano te możliwości, które wysuwa abstrakcyjna metoda awangardy. A więc np. przez sharmonizowanie światła z melodią, przez stworzenie w ten sposób melodii świetlnej. Nic podobnego w filmie Mandesa.

Film wyprodukowano wyłącznie dla nazwiska Paderewskiego. Jest ono dobrą reklamą dla „kiniarzy". Ale czy w ten właśnie sposób budzi się uznanie dla wielkiego muzyka? Raczej — możnaby powiedzieć, że wywołano wręcz przeciwne wrażenie.

Kaz. L.

TRZY KOBIETY — TRZY POSTAWY DUCHOWE

SNOP ŚWIATŁA

Sygnalizujemy Czytelnikom naszym nową książkę Marii Dąbrowskiej: „Rozdroże" — studium poświęcone zagadnieniom wsi.

Oto, co znakomita autorka „Nocy i dni" pisze o modnej dzisiaj a w istocie jakże obskuranckiej tendencji pchania chłopów ku straganom miejskim:

„Dziś, gdy już od jakich lat czterdziestu na całym świecie panuje pogląd, że miasta są przeludnione, że trzeba je częściowo *przenieść* na wieś", że stłoczenie nadmierne ludności miejskiej stanowi pod każdym względem zjawisko niepożądane — my uparliśmy się, że *tylko* pęd ludności do miast może zbawić ojczyznę. Tymczasem to miasta, nie w swoim złym i brzydkim sensie, ale w znaczeniu ośrodków wzmożonej twórczości, powinny powstawać śród naszej wsi".

„Należy ubolewać, że kwestię stworzenia polskiego handlu i przemysłu zredukowano u nas do ideału: sklepik polski na miejsce sklepiku żydowskiego. Ideału tego, najłatwiejszego do zrozumienia dla naszych leniwych i zaściankowych umysłów, trzymać się będziemy kurczowo prawdopodobnie jeszcze wtedy, kiedy cały świat będzie organizował handel na całkiem innych podstawach. Dziś przynajmniej — i to właśnie od strony zwalczającej reformę rolną — robi się tylko propagandę *straganu*, jako jedynej formy nierolniczego zatrudnienia ludności wiejskiej, godząc tym samym w tak dobrze się zapowiadającą spółdzielczość wsi. Mimo, że tylko spółdzielcze sklepy mają możność zaopatrywania się w jedynym czysto polskim hurtownictwie, jakim jest związek *Społem*. I że tylko spółdzielnie rolnicze mają możność zorganizowania się w jednej czysto polskiej centrali zakupu i zbytu płodów czy też przetworów rolnych".

DYSPUTA RYTUALNA

Zofia Kossak-Szczucka w ciężkim znalazła się kłopocie, otrzymawszy nagrodę czytelników „Wiadomości Literackich".

Suma nagrody była niezbyt wielka, ale znów i nie tak szczupła, aby ją wzgardliwie odtrącić. Tylko, z drugiej strony, jakże ją przyjąć? „Wiadomości Literackie" — to w klerykalnej parafii pani Szczuckiej niemal przybytek Belzebuba, a w każdym razie pismo żydowskie. Miejscami wprawdzie antysemickie, ale — bądź co bądź — żydowskie. Możnaby wprawdzie powiedzieć, że nagroda jest aktem uznania czytelników pisma, nie zaś jego redakcji. Tak, ale wyrazem uznania są pieniądze, a te pochodzą z kasy Grydzewskiego i Bormana. Skoro więc pieniądze są „trefne" czy zaszczyt nagrody może być „koszerny"? A skoro nie, to czy da się „wytrybować"? I czy można zaszczyt oddzielić od pieniędzy, zresztą niewielkich?

Pogrążona w dysputę rytualną, pobożna dusza długo jeszcze walczyłaby sama ze sobą — wziąć czy nie wziąć? — gdyby nie znalazła ucieczki w Panu, zdecydowawszy się wreszcie na inkaso, ale nie dla siebie, broń Chryste Boże, nie dla siebie! Pieniądze, podjęte w „Wiadomościach Literackich", autorka „Krzyżowców" poniosła wprost do najbliższej plebanii i złożyła w ofierze na wydatki kościelne.

Tak sobie postąpiwszy, odetchnęła z satysfakcją, dziękując aniołom za zbawienną radę. Bo, oto, cały rozgłos nagrody został przy niej; pieniądze — zresztą niewielkie — nie splamią jej sumienia; obrócone natomiast na chwałę Kościoła stwierdzą raz jeszcze z tryumfem, jak niezbadanych dróg używa Opatrzność, aby zawstydzić nasienie Belzebuba i wywyższyć dusze wybrane.

SŁAWA POŚMIERTNA I JEJ SZAFARZE.

Anna Chorowiczowa, rzadkie pióro dziennikarskie, które na papier roni nietylko atrament, ale i myśli, zadumała się ostatnio, w obliczu śmierci Karola Szymanowskiego, nad osobliwym kontrastem, jaki uwydatnił się w przepychu i splendorze pogrzebu tego wielkiego muzyka, zestawionych z trudnymi, ubogimi warunkami jego życia.

Gdy umarł, pod pochód jego trumny nie zawahano się rzucić dziesiątków tysiecy złotych, aby ten pochód uświetnić. Póki żył, zdobywano się zaledwie na to, aby zapewnić mu paręset złotych miesięcznie. Czyżby — pyta z goryczą Chorowiczowa — umiano u nas wyposażać ludzi tylko na drogę śmierci, skąpiono, natomiast, tam, gdzie chodzi o środki na drogę życia i twórczości?

Ogładzanie żywych talentów i geniuszy przy jednoczesnym fundowaniu kosztownych obrzędów ich sławy pośmiertnej ma swe bezsporne źródło, po części, w tym, że u nas cały aparat, dysponujący chwałą pogrobową wielkich nazwisk, spoczywa niemal wyłącznie w zawodowych rękach kleru. Kler zaś, o ile nieufnie patrzy na wybitne jednostki póty, dopóki żyją i walczą, jako na ośrodki możliwej rewolty przeciw własnej powadze, o tyle skwapliwie śpieszy ku nim z olejami świętymi, skoro spoczną na marach. Inwestycje żałoby — nie zapominajmy — są przeważnie kapitałem (moralnym i finansowym) lokowanym w urządzeniach i przedsięwzięciach Kościoła. Czyż można dziwić się wobec tego, że łuna gromnic nad trumną nieboszczyka świeci w Polsce niekiedy jaskrawiej, niż światła dnia w nędznej pracowni artysty, walczącego o byt?

Ale poza warunkami środowiska polskiego wchodzą tu w grę i czynniki psychologii ogólnoludzkiej.

Każdy pogrzeb człowieka o znakomitym imieniu jest nietylko wylewem zbiorowego żalu. Jest także popisem i targowiskiem próżności. Aby podać dłoń pomocy artyście lub badaczowi; aby go wesprzeć na samotnej ścieżce trudu, trzeba równie samotnej odwagi, równie szczerej i bezinteresownej miłości dla wysiłków ducha twórczego. Ale na to, aby przyłączyć się do wspaniałego orszaku, kroczącego za trumną, spowitą w sławę, wystarcza drobnej kalkulacji, na którą zdobywa się każdy zjadacz chleba. Każdy zjadacz chleba pcha się wtenczas z kwiatami swego żalu, wiedząc dobrze, że składa je nietylko zasłudze, powszechnie już uznanej i gotowej, ale — przede wszystkim — własnemu szlachetnemu sercu, które nad trumną wielkości tak wzniośle boleje...

Andrzej Grot.

WYDARZENIA I DOKUMENTY

OSZCZERSTWO

Po zawieszeniu przez władze administracyjne działalności Ligi Praw Człowieka i Obywatela „Agencja Prasowa Antykomunistyczna" rozesłała do prasy komunikat, w którym, m. in. powiedziano, że Liga Pr. Czł. i Ob. była „ekspozyturą Kominternu".

Słusznie pisze „*Robotnik*":

„Komunikat jest, oczywiście, kłamliwy, Liga nie została rozwiązana, tylko zawieszona, lokalu Ligi nikt nie „pieczętował" i nikt o zdrowych zmysłach nie uważał nigdy i nie uważa Ligi za „ekspozyturę Kominternu". Trzeba jednak znaleźć jakieś środki, by uchronić ludzi poważnych i znanych w Polsce przed napaściami delatorskimi tego typu. Andrzej Strug nie będzie się przecież tłomaczył ze swego patriotyzmu przed jakimiś anonimami z Agencji Prasowej Antykomunistycznej".

„FRONT KATOLICKO-KOMUNISTYCZNY"

W walce z kościołem katolickim reżim hitlerowski nie przebiera w środkach. Zjadliwa kampania prasowa wspomagana jest publicznymi oświadczeniami przywódców partyjnych i wysokich dostojników państwowych. Oskarża się księży katolickich o „rozsiewanie zgnilizny moralnej".

W naczelnym organie partii narodowo socjalistycznej „Voelkischer Beobachter" pojawił się na czołowym miejscu artykuł pod tytułem: „Katolicko-komunistyczny front jedności zdemaskowany". Podtytuł zaś brzmi: „Tajna współpraca księży i komunistów". Pismo donosi:

„Przed najwyższym sądem ludowym państwa niemieckiego rozpoczął się proces przeciwko siedmiu oskarżonym, który potrwa prawdopodobnie kilka tygodni. Rozprawa ustali fakt tajnej współpracy pomiędzy księżmi katolickimi a kołami komunistycznymi. Współpraca zmierzała do realizacji wspólnego frontu katolicko-komunistycznego. Księża paktują skrycie z komunistami przeciwko socjalistyczno-narodowej trzeciej Rzeszy. Katolicka komuna dąży do obalenia istniejącego porządku, a przewodzący jej księża to renegaci i zdrajcy narodu niemieckiego".

ZARAZA WE WŁOSZECH

Tygodnik rzymski „*Quadrivio*" rozpoczął publikację wielkiej serii artykułów, które mają pouczyć ogół o istocie rasizmu, „problemu o żywotnym znaczeniu dla przyszłości kraju". Inicjatywa oficjalnego pisma jest tym bardziej zna-

mienna, że dotąd cała prasa włoska pokpiwała sobie z „barbarzyńskich doktryn rasistowskich".

W pierwszym z serii artykułów przytoczone są argumenty pseudo-naukowe, żywcem jakby wyjęte z dzieł sławetnego ideologa rasizmu, Alfreda Rosenberga. Dowiadujemy się więc, że „kultura jest przywilejem kilku tylko ras", że „doktryna czystości krwi otwiera w dziejach świata nową erę".

Nie mogło też, rzecz jasna, zabraknąć w tym popisie ignorancji i bezmyślności akcentów zajadłej nienawiści wrze[illegible] niezależnej myśli.

„W chwili, gdy nowa wiara rasistowska wschodzi i utwierdza się, powstaje przeciwko niej odwieczny wróg: program rewolucji francuskiej. Powstaje wróg: internacjonalizm kulturalny i polityczny spod znaku judeo-marksizmu i komunizmu".

Mit krwi odradza się i rozwija, jak ongi u Persów, Hellenów i Rzymian".

Szkoda jedynie, że pominięto w tym wyliczeniu lud starożytny, u którego mit krwi odgrywał tak doniosłą rolę: lud żydowski. Jednym z podstawowych, nowych elementów nauki Chrystusa było przecież zerwanie z zasadą rasistowską Starego Testamentu.

ODPŁYW FASZYZMU

Wrzaskliwy germanofil i hitlerowiec Degrelle, przywódca belgijskich „rexistów", sprowokował wybory do parlamentu w najgęściej zaludnionej dzielnicy Brukseli. Jeden z jego faszystowskich kamratów złożył demonstracyjnie mandat poselski po to, aby Degrelle mógł zgłosić swoją kandydaturę. Ta maskarada miała wykazać, że stolica Belgii jest po stronie hitleryzmu, a same wybory urosły przez to do znaczenia plebiscytu i zasadniczej rozgrywki między faszyzmem a demokracją. Jako kontrkandydat Degrelle'a wystąpił z ramienia rządu premier van Zeeland, wybitny polityk i radykał. Chcąc go zdyskredytować w opinii drobnomieszczaństwa, „rexiści" w wypróbowany gdzieindziej szalbierczy sposób przypięli van Zeelandowi łatkę „agenta Kominternu". Mimo to, wynik wyborów ujawnił sromotną klęskę hitlerowców. Van Zeeland otrzymał 276.816 głosów, czyli 75,89% wszystkich głosów, Degrelle zaś 69.342, czyli 19,05%. Demokracja belgijska nie dała się steroryzować.

Od wydawnictwa

Celem ustalenia nakładu „Epoki" prosimy o bezzwłoczne nadesłanie przedpłaty za kwartał bieżący

Od dn. 1-go maja NOWY ADRES REDAKCJI I ADMINISTRACJI „EPOKI" Warszawa Ordynacka 5 m. 4 Tel. 213-90

REDAKCJA i ADMINISTRACJA, WARSZAWA, UL. PIERACKIEGO 13 — TEL. 213-90 — KONTO P.K.O. 26.630.

REDAKTOR przyjmuje w środy i piątki od godziny 17-ej do 18-ej. RĘKOPISÓW nie zwraca się.
PRENUMERATA kwartalnie — zł. 3.— Numer pojedyńczy 50 gr.
OGŁOSZENIA: za wiersz 1 mm. lub jego miejsce (szer. 90 mm.) zł. 1.— w tekście. Za tekstem (szerokości 60 mm.) gr. 40.

REDAKTOR I WYDAWCA: HENRYK LUKREC. 3671 Odbito w Zakł. Druk. W. Piekarniaka, Warszawa, Ordynacka 3.